Nr. 42. Kraków, dnia 16 października 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

ROZKŁAD.

Umysłami Polski współczesnej wstrząsnęła zbrodnia na Jasnej Górze: Ksiądz-zakonnik przyznał się do czynu haniebnego spełnionego w murach miejsca, otoczonego powszechną czcią religijną i narodową.

Zbrodnia na Jasnej Górze!

Co za upokarzająca ironia w zestawieniu słów powyższych!

To, co przez wieki ostawało się najazdowi, to co w krawych dziejach naszej martyrologii wrosło do znaczenia symbolu uczuć naszych religijnych i narodowych, to co dla milionów ludu polskiego było świętością największą — zamroczyła w jednej chwili zbrodnia pospolitych, niskich instynktów ludzkich, znieprawienie, jakie przeniknęło do wszystkich zakątków życia naszego.

Do niedawnych, niemal wczorajszych walk bratobójczych w Królestwie, do systemu skrytobójstwa i szpiegostwa własnego ludu przybywa jeszcze — zbrodnia na miejscu wiekami uświęconem, gdzie pamięć Wielkiego Paulina Kordeckiego zdaje się przemawiać z za każdego muru wielkiem wspomnieniem.

Oburzenie i rozpacz bezsilna ogarnia każdego na tę wieść potworną.

Rodzą uogólnienia szalone, obciążające pokolenia całe.

Dezorganizacya przenika do życia naszego we wszystkich przejawach: łamie wątłe płonki wytężeń samowiedzy, coraz częściej osłabia wrażliwość naszego sumienia. Krwawa zbrodnia Paulina Damazego — to ciernista korona nie cierpienia, lecz znieprawienia.

* * *

Nie można jednak tego stanu rzeczy brać w oderwaniu od całokształtu wydarzeń, jakie przeszło Królestwo Polskie.

Szczodrą dłonią płacimy za fazę rewolucyi, która ześlizgnęła się po naszych grzbietach zwałem bagnetów wrażych.

Szczodrą dłonią płaci jednocześnie los w naszem imieniu najeźdzcy za stuletni posiew ciemnoty, za tamowanie oświaty, za burzenie szańców kultury.

Bo rząd rosyjski z niewolą polityczną wprowadził do Polski także kulturę rosyjską.

A gorsza ona niż niewola. Bo jakkolwiek niewola polityczna jest rzeczą ciężką, tamuje rozwój narodowy, gospodarczy i kulturalny podbitego narodu, to gorszą jest rozstrój i demoralizacya, w jaką Polska pod wpływem Rosyi popadła.

W braku środków do rozwoju normalnego musiano się uciec do półśrodków, do jakiegokolwiek sposobu zaspokojenia potrzeb do życia nieodzownych.

Już ta sama konieczność używania środków niemoralnych stwarzała atmosferę życia politycznego niezdrową i duszną. A dodać należy także niezdrowe i niesocyalne warunki w jakich dojrzewała i wychowywała się młodzież polska w szkołach, kiedy w duszach dorastających zamiast ideałów górnolotnych wpajano fałsz, kiedy zamiast poić się słońcem idei najczystszych, musiała zwalczać brud i zgniliznę, szczepioną przez wychowawców rosyjskich.

A obok gangreny forsowanej przez rząd i szkołę rządową szła z Rosyi gangrena przez literaturę i piśmiennictwo.

Niema żadnego piśmiennictwa, przepojonego tak jak rosyjskie miasmatami plugastwa i rozkładu, anarchii i bezprawia; niema świętości, którejby tam nie oplwano, niema podłoty, którejby nie podniesiono do ideału: splugawiono tam człowieka i naród, ojczyznę i Boga, macierzyństwo i rodzinę.

Pod tak anarchicznymi wpływami rodzić się mogą zbrodnie wszelakie i najhaniebniejsza nikczemność.

* * * *

W Polsce zalani jesteśmy potopem apatyi, gnuśności, słabości.Tak jak przed 255 laty zalani byliśmy nieprzyjaciółmi i wojskami wrogów naszej Rzplitej. Na jedno drgnienie, na głos z Jasnej Góry otrząsnęła się Polska z Szwedów, Moskali, Włochów, Turków i tylu innych nieprzyjaciół; da Bóg, że zbrodnią na Jasnej Górze rozbudzone uczucia ogółu zmiotą z naszego życia publicznego apatyę i rozkład, w jaki pogrążeni jesteśmy za sprawą innych.

Dwie sprawy.

Stajemy wobec załatwienia definitywnego lub projektowanego dwu niezwykle ważnych spraw dla rozwoju naszego kraju:

W sobotę 8. bm. koło sejmowe uchwaliło reaktywowanie Rady Narodowej. O potrzebie takiej instytucyi mieliśmy sposobność pisać niejednokrotnie. Nam trzeba organizacyi, ujmującej w swe ręce życie publiczne i regulujące sprawy uznane powszechnie za ogólno-narodowe.

W tych ramach reaktywowano Radę Narodową. Ma istnieć ciągle nie jako instytucia wyborcza, ale jako organizacya narodowa.

Życzyćby należało niezmiernie, ażeby zarzuty co do jednostronności Rady nie miały odtąd nigdzie żadnego substratu.

* * *

Drugą sprawą to reforma wyborcza sejmowa. Otrzymawszy dyrektywy z Wiednia, p. namiestnik wolę chce narzucić Sejmowi.

Jak rzeczy obecnie stoją, to nie tylko kurye nie zostaną zniesione, ale będą powiększone. Zamiast 4 istniejących ma być jeszcze kurya średniej własności i kurya robotnicza w miastach.

Kurye te rozbiją jeszcze gorzej naród. Podzieliłyby wieś samą na biednych i bogatych, pogłębiły przepaść między robotnikami a innemi warstwami.

Nie doprowadziłyby zatem do harmonii społecznej, lecz obudziłyby większe jeszcze dysonanse i rozstrój społeczny.

Szkoły dla mniejszości narodowych.

Poseł dr. Rutkowski postawił podczas obecnej sesyi sejmowej wniosek, zawierający projekt ustawy o zakładaniu i utrzymywaniu szkół ludowych dla mniejszości narodowych. Oto jego osnowa:

Jeżeli w jakiej miejscowości lub w kilku sąsiednich miejscowościach w promieniu jednej godziny drogi, posiadających szkołę lub szkoły ludowe o języku wykładowym większości narodowej, znajduje się po przeciętnem obliczeniu z ostatnich lat trzech, najmniej 40 dzieci w wieku szkolnym, których rodzice należą do narodowości stanowiącej miejszość w tejże miejscowości, należy na żądanie tychże rodziców założyć i utrzymywać samoistną, publiczną, powszechną szkołę dla mniejszości narodowej z językiem wykładowym tejże mniejszości narodowej.

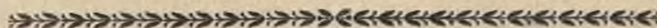
O ilości dzieci i potrzebie szkoły, oraz o wyborze siedziby szkoły dla mniejszości narodowej rozstrzyga na podstawie komisyjnych dochodzeń lokalnych w gminie i na obszarach dworskich, przy pomocy rady politycznej i Rady szkolnej okręgowej Rada szko'na krajowa.

Dla szkoły mniejszości narodowej ma być utworzony odrębny okręg szkolny mniejszości narodowej, odrębny fundusz szkolny mniejszości narodowej, oraz odrębny zarząd szkoły mniejsości narodowej. Osobne rozporządzenia Rady szkolnej krajowej postanowią o organizacyi okręgu, funduszu i zarządu szkoły mniejszości narodowej.

Jeżeli w jakiej miejscowości, względnie w okręgu szkolnym, zostanie założona szkoła dla mniejszości narodowej, to rodzice dzieci, które odtąd mają uczęszczać do tejże szkoły, względnie podatnicy, przyznający się do mniejszości narodowej w miejscowości, oraz właściciele obszarów dworskich, przyznający się do mniejszości narodowej, będą uwolnieni od obowiązku przyczyniania się konkurencyjnego do kosztów zakładania i utrzymywania szkoły miejscowej większości narodowej i przyczyniać się będą odtąd jedynie do funduszu szkoły mniejszości narodowej.

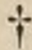
Obowiązek zakładania i utrzymywania szkół mniejszości narodowych ciężу na rodzicach dzieci, należących do mniejszości narodowej, wraz z właścicielami obszarów dworskich, przyznających się do mniejszości narodowej, oraz na kraju. Wszystkie wydatki na kupno gruntu pod szkołę, mieszkanie nauczycieli, boisko, na wystawienie szkoły i przynależnych budynków, względnie na najem, utrzymanie, urządzenie, opał, oświetlenie, obsługa etc., ponosi fundusz szkolny mniejszości narodowej w granicach powszechnych obowiązków. — Cały ewantualny niedobór funduszu szkolnego na założenie i utrzymanie szkoły mniejszości narodowej ponosi kraj.

Z chwilą powstania szkoły mniejszości narodowej ogranicza się używanie drugiego języka w szkole większości narodowej do obowiązkowej nauki drugiego języka narodowego.





Marya Konopnicka, ur. 1846 r. — um. 8. X. 1910 r.



Marya Konopnicka.

Zaledwie kilka miesięcy minęło od zgonu wielkiej kobiety-obywatelki, powieściopisarki naszej, Elizy Orzeszkowej, zaledwie umilkły pogrzebowe dzwony, a oto jak Polska długa i szeroka rozchodzi się wieść złowroga o nowej klęsce.

W ubiegłą sobotę umarła we Lwowie największa poetka polska ś. p. Marya Konopnicka.

Pękły struny na słonecznej harfie.

Umilkła pieśń natchniona, pieśń wykołysana wielką miłością ojczyzny i wielkim bólem nad jej niedolą...

Umilkła niespodziewanie, prawie nagle, w chwili, gdy geniusz Jej stanął u szczytu chwały, gdy wprawne dłonie pieśniarki poczęły nawiązywać nić poetyckiej tradycyi współczesnego pokolenia z echami wielkiej poezyi romantycznej.

O, bo poezya ś. p. Maryi Konopnickiej nie była poezyą pustych dźwięków, nie była błyskotliwą frazeologią, jak nas karmi dzisiejsze pokolenie epigonów, ale była świętem krzyżmem dla znękanych dusz naszych.

O, bo zgasła poetka!...

„Chciała miłości — dla ziemi.

Chciała wyznawców — dla ideału.
Chciała światła — dla ludu.
Chciała czci — dla pracy.
Chciała bojowników — dla idei.
Chciała tryumfu — dla prawdy.
Dla wszystkich — chciała jedności".

Stajemy więc dziś nad Jej trumną w wielkiej żałobie, a z głębi serca wyrywa się nam bolesny okrzyk żalu.

Naród poniósł nową wielką stratę, ponieśliśmy ją i my, młodzi, albowiem w zgasłej poetce utraciliśmy Tę, która była rzeczniczką nowych idei, która na sztandarze swoim wypisała hasła obrony świętych ideałów odrodzenia!...

Marya z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w r. 1846 w Sieniątkach. Wcześnie wyszła za mąż i w ustroni wiejskiej, gdzie osiadła, rozbudził się jej niepospolity talent poetycki. Jednocześnie, patrząc na wypadki 1863 r., na rozłam pomiędzy dworem a chatą, stała się gorącą zwolenniczką haseł demokratycznych, które uczyniły z niej śmiałą i nieraz bezwzględną bojowniczkę postępu.

Przeniósłszy się ze wsi do Warszawy, od roku 1876 zaczęła ogłaszać swoje pierwsze utwory liryczne w „Kłosach" Lewentala, naówczas najpoczytniejszym tygodniku polskim.

Poezye jej nacechowane głębokiem odczuciem przyrody („Odgłosy z gór"), szybko zjednały jej rozgłos. Krytyka, co u nas bywa dość rzadko, poznała, że ma do czynienia z talentem pierwszorzędnym. Zarzucono jej wprawdzie potem — i słusznie — tendencyjność w sztuce i przenoszenie do jej dziedzin haseł społecznych, ale zachwycano się jednocześnie prostotą jej pieśni sielskich, wygranych „Na fujarce", zebranych „Z łąk i pól". Nadto głębokie, szczere współczucie dla niedoli ludzkiej rozbrajało nawet przeciwników poezyi „programowej".

W pracy, wysiłku i powolnem zdobywaniu „imienia literackiego" zbiegło Konopnickiej 14 lat w Warszawie. Przez ten czas pisywala nowele, zajmowała się publicystyką, redagowała czasopismo dla kobiet „Świt" i brała żywy udział w ruchu umysłowym stolicy.

W roku 1890 z rozporządzenia władz musiała jednak opuścić Warszawę. Odtąd rozpoczęło się jej tułactwo.

Mieszkała kolejno: w Monachium, we Francyi i we Włoszech, wreszcie w Galicyi, gdzie od roku 1902 osiadła w ofiarowanym jej dworze wiejskim, w Żarnowcu. Był to dar jubileuszowy, związany z szeregiem uroczystości, jakie odbyły się w Krakowie i Lwowie ku czci poetki.

Podróże i pobyt poza granicami kraju wpłynęły na twórczość Konopnickiej dodatnio. Tęsknota wysubtelniła jej uczucie patryotyczne, a poznanie z bliska sztuki francuskiej i włoskiej pogłębiło znacznie jej aspiracye artystyczne.

Talent Konopnickiej w tym czasie dojrzał, spotężniał i wyolbrzymiał. Skrzydła jej nabrały rozmachu, a natchnienie poszybowało niezwykle górnymi szlakami, wzbijając się ku szczytom wielkiej poezyi.

Imię jej nabrało rozgłosu nietylko w Polsce. I słysznie, druga połowa wieku XIX-go nie miała bowiem w caływ świecie poety o równej sile natchnienia.

Nie podobna dzisiaj, pod świeżem wrażeniem śmierci poetki, zastanawiać się szczerzej i głębiej nad procesami, które zachodziły w jej organizacyi twórczej w okresie dojrzewania.

Uczynimy to kiedyindziej. Dzisiaj pochylmy się tylko w żałobie nad jej spuścizną literacką. Jest to spuścizna bogata, wszechstronna, wypełniona po brzegi cennemi skarbami.

A choćbyście.

A choćbyście wrośli w ziemi
Siłami wszystkiemi,
Choćby wszystkich dżdżów obłoki
Poszły wam na soki,
— Nie wzniesiecie w górę czoła
Gdy wiosna zawoła,
Nie wydacie duchem kwiatu,
Ni sobie, ni światu —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

A choćbyście przeszli morza
Błękitne przestworza,
Choćby góry całej ziemi
Z skarbami wszystkiemi,
— Powrócicie jak żebracy
Z waszych dróg i pracy,
Załamiecie próżne ręce
W strasznej głodu męce —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!



Opowiadanie o walce za wolność i ojcznę.

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,
Choćby z stali były męże
A z gromów oręże,
— Pójdą w jeństwo wasze roty
Po pod cudze płoty
Wasze boje będą klęską,
Wasza śmierć niemęską —

Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału.

I choćby wam trąby grały
Nowych dni hejnały,
Choćby cały świat z mogiły
Wstawał pełen siły,
Wy się z trupich waszych pleśni
Nie dźwigniecie w pieśni,
I w zmartwychwstań wielkiej dobie
Zostaniecie w grobie —

Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału.

Marya Konopnicka.

Fałszywa duma.

Fałszywa duma wkrada się łatwo pod rozmaitemi postaciami, do ludzkiej duszy. Nie można utrzymywać, żeby to były niskie charaktery, w których ona się uwydatnia, ale najczęściej słabi, wahający się ludzie, którzy brak odporności, w smutnych życia zawiłościach, a zarazem zarozumiałości, a często gniew, pompatycznie parawanem dumy zastawiają. Przybiera ona, jak powiedziałam, rozmaite formy. Oto np. ludzie, niegdyś zamożni, żyjący w dobrze uporządkowanych stosunkach, nagle, może nawet bez własnej winy, zubożeją, a co zatem idzie, muszą swoje życie, nawyknienia, ograniczyć do życia bardzo skromnego. Cierpią bardzo nad tem, nie umieją z godnością zerwać ze staremi kosztownemi przyzwyczajeniami, a nie znajdują drogi, pomódz sobie pracą, bo nie pozwala im na to duma, — fałszywa duma. Kontenci, że znaleźli taką wymówkę, której się chwytają, a która jest ratunkiem, jak sami mylnie sądzą „upokorzeniem się w oczach świata", który będzie na nich z góry spoglądać, bo — spadli z wyżyn. Tylko na miłość Boga! o ile możności zachować pewne pozory" — mówią w takich razach, zamiast zażegnać kłopoty swoje zredukowaniem wydatków, a pomnożeniem uczciwej pracy. Często bywa, że są w domu dziewczęta, zdrowe i silne a nie pozbawione jakichś wrodzonych zdolności i powołania, do praktycznych lub nawet artystycznych zawodów, które wykorzystać każda inteligentna, a dbała o swój i swoich los, kobieta, zawsze potrafi. Ale oto — wznosi się na niekorzyść takiej, chiński mur przestarzałych przesądów. Fałszywa duma — zniewala rodziców lub też „dumnych" krewnych panienki do wypowiedzenia komunału: „Ach, jakże można rzemieślniczką zostać! będąc na tym stopniu towarzyskim, co ty! buchalterką! boną! lub pomocnicą pani w domu, gdzie możesz dawnych spotkać znajomych! Nigdy w życiu!" — A więc lepiej próżnować i głodem przymierać?...

Niejedna biedaczka wzdycha: „czemu ja nie zdałam egzaminu na nauczycielkę, lub czego innego się nie nauczułam, jakże dobrze mogłabym to teraz wykorzystać". Ale — wymówka właśnie należy się — matce. Na szczęście jest jednak jeszcze dość rozsądnych matek, tak ubogich, jak i zamożnych, starających się w równej mierze, ażeby fałszywa duma nie przeszkadzała dzieciom ich w pracy, ale niestety, bywają i zaślepione matki, wychowujące córki swoje na podobieństwo księżniczek, stroją je i na zabawy prowadzą, a później gdy taka panna znajdzie się w smutnem położeniu, nie umie dać sobie rady, nie chce uznać błogosławieństwa pracy.

Fałszywą dumę powinno się raz na zawsze z życia usunąć, dumnym może każdy być na to, ażeby przez własną pracę, przez wypełnianie obowiązków iść z wysoko podniesioną głową przez życie, czyniąc gdzie można dobrze, pomagając uboższym, mało dla siebie żądając od — ludzi; taka duma będzie uzasadnioną i taka potrafi być cichą, skromną, bez pragnienia poniżania innych.

Tomy możnaby zapełnić pisząc o fałszywej dumie: od niej, do bardzo niskich uczuć — krok tylko jeden. Jak często zdarza się, że ojciec rodziny w wypełnianiu swej obowiązkowej płatnej pracy, czuje się znieważonym przez przełożonych; zamiast zastanowić się spokojnie nad jakimś niemiłym faktem, uznać błąd, w porywie fałszywej dumy zdaje mu się, że jest to sam sobie winien porzucić swoje stanowisko, nie pomnąc na to, że pogrążyć może żonę i dzieci w nędzę, — i oto szczęśliwe dotychczas życie zniszczone, ceną dumy fałszywej. Ona też była nieraz powodem, że młode, pełne nadziei i przyszłości życie, skończyło się — dłonią samobójczą! Tak często czytamy w gazetach o samobójstwach studentów, które w następstwie złych świadectw popełniane bywają. Zamiast by takie biedne, młode dziecko powiedziało sobie: „Sam jestem winien, lenistwo moje, niedbałość, brak poczucia obowiązku, sprowadziły na mnie tę zasłużoną karę..." idzie i — odbiera sobie życie, pogrąża rodziców w rozpaczy, bo — tak zwana duma nie pozwala mu przenieść tego „upokorzenia". W wielu wypadkach bywa tu winnym brak troskliwej ręki matki, która nie umiała zapobiedz spełnionemu nieszczęściu... A jeśli młodzieniec nie ma zdolności do kończenia szkół wyższych, toż powinni rodzice odrzucić fałszywą dumę i pozwolić mu tem być, do czego ma zdolność i ochotę. Rzemiosło każde dobrze się opłaca, a zarozumiałość macierzyńska, fałszywa duma, która chce czemś nadzwyczajnem widzieć swego syna, powinna w takich wypadkach milczeć.

Trzeba dziecku wcześnie otworzyć oczy na niebezpieczeństwo, jakie w sobie kryje fałszywa duma. Często ujawnia się ona już w bardzo dziecinnym wieku; nazywają ją ambicyą. Jest czasem bardzo zabawną, ale dorośli nie powinni jej wyśmiewać, przeciwnie, starać się poważnie zapobiegać jej wybujaniu nadmiernemu. Z powodu źle pojętej ambicyi niejedno dobre dziecko z zaciśniętemi uparcie zębami, zniesie niezasłużoną karę, w cza-



Bobolicka skała.

sie kiedy jedno słowo prawdziwego, (nie kłamliwego) tłumaczenia odwrócićby zdołało nieporozumienie ale dziecko to woli być — męczennikiem ze źle pojętą dumą, jak zdradzić prawdziwe okoliczności. Z takich to wypadków, jeśli się częściej powtarzają, rozwijają się później, zgorzkniałe, zamknięte, nieszczere charaktery, a w gruncie rzeczy powodem był dziecinny upór, kryjący się w płaszczyku fałszywej dumy.

Dlatego zalecamy rozsądnym matkom, by starały się swoim dorastającym dzieciom zawsze wytłómaczyć i wykazać różnicę pomiędzy prawdziwą, a — pozorną dumą. Jak łatwo młoda dziewczyna da się obałamucić fałszywym blaskiem, zewnętrznemi przymiotami wybranego; mało go znając, bierze go, ażeby — co za tryumf! — zostać bardzo młodziutką narzeczoną. Fałszywa ta duma, sprawia, że najszczęśliwszą czuje się w małżeństwie, a tem nieszczęśliwszą, że — milczeć musi, bo sama tak chciała... Marzyła o szczęściu, ażeby prędko, ach! za prędko przekonać się, że mąż albo jej nie wart, albo też, nie zgadzają się: i oto — szczęście jej w gruzach, a do tego opłacone chwilową fałszywą dumą, że tak prędko wyszła za mąż, zamyka się w sobie, milczy i cierpi, dla źle pojętej dumy. Może znalazłaby ulgę i nawet pomoc przy sercu matki, starsza, doświadczona kobieta umiałaby niejednemu radą zapobiedz; ojciec swym męskim wpływem, młodej parze możeby się przysłużył. Chociaż często bywa, że przez wmięszanie się osób trzecich, małżeństwo jeszcze nieszczęśliwszem się staje, ale — czasami bardzo są małe złego przyczyny — gdzie rozsądni mogą pomódz. — Młoda kobieta jednak milczy, chce uchodzić za szczęśliwą; fałszywa duma podszeptuje jej pragnienia, by jej zazdroszczono, — i tak z dnia na dzień szczęście przepada, a ona powtarza: „jestem bardzo szczęśliwą“, — szczególniej jeśli przedtem mówiła: „on albo żaden!“ i żadnych przedstawień nie słuchała. Nie trzeba, naturalnie, nieszczęścia swego wystawiać na widok publiczny, przykrem jest wzbudzać litość ludzką, ale nie trzeba dać się też opanować o tyle fałszywej ambicyi, by nie otworzyć czasami wnętrza duszy i serca życzliwym kochającym duszom, takim, którym w ciężkich godzinach życia zaufać można. Czy się jest młodym, czy starym, pragnie się serc kochających i pragnie się wywnętrzenia, chociażby uparcie stali na straży ci dwaj dozorcy: fałszywa i — prawdziwa duma... Przedewszystkiem trzeba się już wcześnie uczyć, w szlachetnem znaczeniu być — dumnym, a zarazem — pokornym, tak w szczęściu jak i w nieszczęściu.

Fałszerstwa i fałszerze.

Sztuka fałszowania przedmiotów mających wartość artystyczną, doszła dziś do takich doskonałości, że nie ma na świecie znawcy tak wytrawnego, któryby mógł sobie powiedzieć: „Nikt mnie nie oszuka!“ Tak np. zarząd instytucyi tak poważnej, jak muzeum paryskie w Luwrze, zapłacił sumy bajońskie za koronę króla staroperskiego, Saitaphanesa, przekonał się zaś wkrótce, że jest to wyrób fabryki współczesnej produkującej wyłącznie „starożytności wschodnie“.

Czego bo dziś nie fałszują! Obrazy, bronzy, rzeźby, rękopisy, znaczki, porcelanę, stare biżuterye! Jeden z doświadczonych antykwaryuszów twierdzi, iż 90 prc. mebli antyków jest towarem podrobionym. Na całej kuli ziemskiej istnieją dziś warsztaty, jawnie niemal uprawiające fałszerstwa. Arab w Egipcie z równą zręcznością fabrykuje mumie, jak Indyanin meksykański bożyszcza azteków, włoski zaś malarz Rafaela.

Pośród fałszerzy obrazów znajdują się nieraz artyści z ogromnym talentem, których los zawistny wykoleił i zamienił w niewolników antykwaryuszów. Trzeba mieć zdolności nie lada, aby dobrze podrabiać Leonarda da Vinci, Murilla, Corota! Naiwność wielu zbieraczy prywatnych ułatwia fabrykantom rzemiosło. Ludziom tym wydaje się, że ten lub ów przedmiot bez względu na swoją istotną piękność wart jest setki tysięcy, jeżeli ma stempel antyku, z drugiej zaś strony każde „objec d' art“, choćby pierwszorzędnej doskonałości, nic nie warte, jeżeli wykryje się, że to robota nowoczesna.

W Beauvais pod Paryżem stwierdzono, iż robotnicy przez długie lata wyrabiali narzędzia historyczne i sprzedawali je zbieraczom; krzemienie np. zamieniali w siekierki przez ostrzenie i moczenie w wodzie glinianej. Wygląd starożytny otrzymują te fabrykaty przez umieszczanie ich na czas dłuższy w gnoju, witryoleju itp. Obrazy fałszowane są w ten sposób, iż fabrykant kupuje jakieś stare, bezwartościowe malowidło, zdrapuje farbę i robi na tem starem płótnie np. Tycyana. Starość płótna wprowadza w błąd kupujących. Świeże malowanie wypieka się w piecach, aby na obrazie nie brakowało pęknięć i rysów. A „sos brunatny“, a „ton złocisty?“ Od tego jest mleko zmieszane z popiołem, ekstrakt ze „słodkiego drzewa“ i sadze. Na koniec używany bywa rozczyn gumowy z sepią i tuszem chińskim, w którym macza się szczotkę i pryska na obraz.



Żyrondziści prowadzeni na szafot.

W ten sposób malowidło jest nawet popstrzone przez... muchy.

Fałszerze starają się przedewszystkiem wpoić w kupującego przekonanie, że kupuje tanio, wypadkowo i w okolicznościach wyjątkowych. Słynne są we Włoszech „wdowy w żałobie“, które pod naciskiem najstraszliwszej nędzy zdecydowały się sprzedać antyk, stanowiący pamiątkę rodzinną, a przystępując do targu, zalewają się łzami. Są to agentki handlarzy. Stare fajanse z Rouen zasłużone cieszą się sławą, to też fabrykanci umieszczają swe wyroby współczesne w chałupach chłopskich, do których cudzoziemiec, zwiedzając okolicę, wstępuje wypadkowo, kupuje fajanse, ucieszony „przypadkowem odkryciem“. Podobnie dzieje się w kąpielach niemieckich nad morzem Bałtyckiem. Ile tam sprzedają corocznie wazonów starofryzyjskich, wyrabianych w wieku XX-tym — nikt nie zliczy!

Za króla fałszerzy uchodził przez długie lata niejaki Schapira, który wyprowadził w pole rząd niemiecki przez sprzedanie moabickich dzbanów glinianych, pochodzących rzekomo ze starożytnego Moabu. Ten sam jegomość oszukał następnie paryską bibliotekę narodową, gdyż sprzedał instytucyi niezmiernie stary rękopis drugiej księgi Mojżesza, naśladowanej na pergaminach z taką dokładnością, że przez długie lata uczeni wiedli spory o autentyczność dokumentu.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * * *

Naturalne przedłużanie życia.

I.

O starzeniu się i sposobach przedłużania życia napisał znany lekarz karlsbadzki dr. Lorand książkę bardzo interesującą a przeznaczoną dla szerszego ogółu. W pierwszym rozdziale książki omawia fizyologiczne przyczyny starzenia się. Najistotniejszą przyczyną zamierania organizmu, czyli starości, jest degeneracya gruczołów krwi. Starzenie się jest chroniczną chorobą, wywołaną nieprawidłowem funkcyonowaniem i chorobliwemi zmianami gruczołów krwi (do których zalicza się także

wątrobę i nerki). Zdrowe gruczoły krwi zapewniają człowiekowi długie życie i starość pogodną. Kto odziedzicza po przodkach zdrowe gruczoły, ten także odziedzicza zadatek do długiego życia.

Historya licznych osób, które przeżyły więcej niż sto lat, wskazuje, że ich przodkowie lub przynajmniej ich krewni dożyli również sędziwej starości. Gdy niejaki Jenkins, liczący lat 160, zjawił się przed sądem, aby świadczyć o pewnym wypadku, który zaszedł przed 120 laty, był on w towarzystwie swoich dwojga „dzieci“, z których jedno miało lat 104, a drugie lat 100.

W r. 1724 zmarł w pobliżu Temesvaru niejaki Petraz Czarten w wieku 185 lat i pozostawił 95 letniego syna. Do najsławniejszych starców wszystkich czasów należy Tomasz Parr (zmarły w r. 1635), który dożył do 153 lat. Jedna z jego córek zmarła w 103 roku życia. Włościanin Józef Surington, który zmarł w 1797 r. w pobliżu Bergen, przeżywszy lat 160, pozostawił młodą wdowę i syna 90-letniego, ale także innego syna liczącego lat 103. Pewna kobieta, Marya Malinow, która w r. 1692 zmarła w pewnej finlandzkiej wsi, dożyła 114 lat; brat jej zmarł, licząc lat 108, a wszyscy jej krewni i potomkowie odznaczali się długiem życiem. Żołnierz Jan Thouret żył, mimo licznych ran, otrzymanych w bojach, lat 104; matka jego dożyła lat 118, a jeden z jego stryjów 130. W pewnej rodzinie pradziad zmarł w 96 roku życia, siedmiu jego synów miało razem 600 lat, a jedna jego córka, która obecnie jeszcze żyje, jest już w bardzo sędziwym wieku. Dr. Lorand opowiada, że także w jego własnej rodzinie długowieczność jest dziedziczną. Ojciec jego matki zmarł w 105 roku życia, synowie jego liczą po 96, 86 i 83 lat i są jeszcze bardzo dziarscy. Również przodkowie i krewni po stronie ojca dożywali późnej starości. Z tego rodzaju geneologicznych zestawień okazuje się, że członkowie rodzin, które odznaczają się długowiecznością, mogą się spodziewać długiego życia. Z drugiej znów strony należy stwierdzić, że mądry, zdrowy sposób życia zdoła zapewnić długie życie nawet ludziom, którzy pochodzą od rodziców, zmarłych wcześnie.

Z rzeczy, wpływających bardzo szkodliwie na czynność gruczołów krwi, a zatem przyśpieszających starość — należy podnieść przedewszystkiem nadmiar w spożywaniu mięsa, w używaniu alkoholu i tytoniu, jakkolwiek nie ulega kwestyi, że np. chroniczny alkoholizm jest jedną z najważniejszych przyczyn przedwczesnego starzenia się, to jednak zauważyć można, że alkohol używany z umiarkowaniem, nie działa bynajmniej tak rozkładowo na organizm, jakto fanatyczni przeciwnicy alkoholu utrzymują. Wiadomo, że wielu ludzi, którzy sobie alkoholu nie żałowali, przeżyło imponujący kawał czasu.

Niejaka pani Joanna Obst ze Śląska doprowadziła do 155 lat, mimo, iż piła codziennie 2 szklanki wódki. Rzeźnik Laroque, który zmarł w 102 roku życia, był regularnie dwa razy w tygodniu pijany. Zwyczaj doszczętnego upijania się, mieli także dwaj chirurdzy francuscy Politiman i Espagno, z których pierwszy zmarł licząc lat 140, a drugi przeniósł się do lepszego świata w 112 roku życia. Podobne przykłady spotyka się także w czasach naszych.

W Springfield koło Glasgowa żyje pani Anderson, licząca obecnie 104 rok życia. Dziennik „Daily Mail“ doniósł o niej tamtego roku, że stałym zwyczajem „zażywa“ ona codziennie wielką łyżkę whiskey. Tamtego roku święcił po raz 102 urodziny swe pewien pensyonowany generał, który mimo swego sędziwego wieku codziennie przychodzi do knajpy i spija litr piwa. Wielkim wielbicielem trunków był także irlandzki wieśniak Brown, którego śmierć porwała znienacka, gdy liczył 120 lat. Na jego nagrobku znajduje się następujący napis: „Pod tym kamieniem spoczywa Brown, który tylko dzięki mocnemu piwu dożył 120 lat. Był zawsze pijany, a w stanie tym był tak straszny, że nawet śmierć się go obawiała. Gdy pewnego dnia jednak wbrew swemu zwyczajowi, był trzeźwy i spokojny, śmierć wzięła się na odwagę, porwała go i zatryumfowała wreszcie nad zwyciężonym pijakiem“.

Jeśli z tych, co nie gardzili alkoholem, wielu żyło 100 lat i więcej, to jednak dra Loranda nie można tego powiedzieć o osobach używających nadmiernie tytoniu.

Kto pragnie dożyć sędziwego wieku, powinien prowadzić taki tryb życia, aby gruczoły krwi mogły zawsze należycie spełniać swe funkcye. Nietrudna to rzecz żyć regularnie i zdrowo. Dr. Lorand daje w tym względzie jasne i nader proste wskazówki. Jednym z pierwszych warunków zdrowia jest dobre trawienie, należyte funkcyonowanie żołądka. Najzdrowszem pożywieniem jest takie, które składa się z niewielkiej ilości mięsa, a znacznej ilości jarzyn i owoców.

Zkąd wojna?

Za co człowiek na bliźniego tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? Bo ma w sobie zwierza.

Stosunek między zapachem a węchem.

Ssące zwierzęta czują zapachy z odległości większej od tej, z której spostrzegają. Taki zmysł jest okiem widzącem przedmioty nietylko tam, gdzie są, ale tam nawet, gdzie były.

Zmysł węchu nie dochodzi nigdy u człowieka do tej subtelności, jaką posiada u rozmaitych zwierząt. Utrzymują wprawdzie, że pewne plemiona dzikie rozpoznają nieprzyjaciół swoich po zapachu, a murzyni afrykańscy z wyziewów rozproszonych w powietrzy odgadują obecność białego; ale fakta te nie mogą iść w porównanie z delikatnością węchu zwierząt.

Węch jest doradzcą żołądka. Rzeczywiście napawamy się przyjemnie zapachem potraw, dopóki czujemy apetyt; z chwilą zaspokojenia go zapachy te wstręt budzą.

Powietrze doprowadza do kanałów nosowych wrażenie zapachu. Ale czem jest zapach sam w sobie, jaka jest jego natura? Jest to pytanie, na które niebodobna odpowiedzieć. Zapach nie zasadza się jak dźwięk na drganiu powietrza; nie podobny jest ani do światła, ani do elektryczności. Tłómaczy się go wogóle ulatnianiem się pewnej części ciała wonnego, skutkiem czego atomy tego ciała wchodzą w styczność z naszymi organami zmysłów. Teoryi tej jednak zadaje kłam doświadczenie.

Przekonano się, że pięć centygramów piżma, leżąc w naczyniu otwartem, napełnia wonią swoją pokój przez wiele lat, a jeżeli po upływie tego czasu zważymy ten sam kawałek piżma, to waga jego będzie zupełnie taka sama.

Haller mówi, że papier, napojony jednym gramem szarego bursztynu, zachowuje przez czterdzieści lat jego zapach. Wiadomo, że pies gończy całemi dniami ugania się za zającem, kierując się li tylko wyziewami pochodzącymi ze zwierzęcia. Gdyby istotą tych wyziewów były cząsteczki materyalne, to całe ciało zająca po dwóch lub trzech dniach rozproszyłoby się w wyziewach wonnych. Bez wątpienia trudno jest pojąć, w jaki sposób ciało nie ulatniając się, woń rozpraszać może; ale nie obawiamy się przyznać do nieświeżości wobec faktów rzeczywistych — nie jedna to bowiem zagadka, której nauka rozwiązać nie potrafi.

Jak nie możemy przyczyny natury zapachu podciągnąć pod żadną teoryę, tak samo nie potrafimy mierzyć natężenia zapachów, ani ich pomiędzy sobą porównywać.

Zapachy są to ciała nie dające się ująć pod żadnym względem. Niepodobna ich nawet rozklasyfikować. Niejeden bowiem zapach należący do przykrych, według naszych pojęć, przyjemnym jest dla innego narodu. Assafetida, której zapach wstrętem przejmuje Europejczyka, jest jedną z najulubieńszych woni dla Chińczyków, Persów i wielu ludów wschodnich. W krajach tych korzeń tej rośliny używa się jako przyprawa do potraw najbardziej ulubionych. Assafetida była nawet w wielkiem poważaniu u starożytnych Rzymian, którzy zaprawiali nią potrawy i napoje.

Łapończyk i Eskimos napawa się zapachem tranu, który nam sprawia mdłości; są znowu ludy, które się unoszą nad zapachem kwaszonej kapusty.

Albo jak objaśnić najsprzeczniejsze wstręty i upodobania?

Ludwik XIV nie cierpiał zapachów uważanych za najprzyjemniejsze, jak piżmo, tuberoza i inne; poeta włoski Favoriti czuł wstręt do róży; Henryk trzeci nie znosił bliskości kota, tak samo Meyerbeer; marszałek Breze mdlał na widok królic, a Erazm roterdamski dostawał febry, ilekroć zaleciał go zapach ryby; Władysław IV, król polski nie mógł znieść widoku jabłek; Tycho Brahe uczuwał drżączkę w nogach, gdy spotkał zająca; marszałek Cezar d'Albert mdlał na widok prosiaka. Ponieważ wiedziano o słabości tej w wojsku francuskiem, marszałek Clerambault mawiał, że najłatwiej byłoby zwyciężyć marszałka d'Albert, ukazując się przed nim z głową prosięcą w ręku.

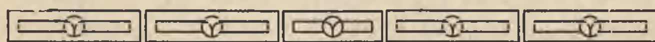
Jak widzimy, i w życiu codziennem mamy tysiące zjawisk, prostych na pozór, z których zdać sprawy nie umiemy.



O ważnem znaczeniu pracy.

Cała natura człowieka ułożoną jest jakoby w ten sposób, żeby być czynną. Mści się gorżko jeśli chcemy to umyślnie zmieniać. Stan ciągłej, choćby czasamy wymuszonej, a tylko przez naturalne przestanki przerywanej czynności, jest najszczęśliwszym jaki może być na ziemi. Każda prawdziwa praca, która nie jest tylko zabawką, ma ten przymiot, że staje się interesującą, jeśli człowiek się w nią poważnie zagłębi; nie rodzaj czynności uszczęśliwia — ale radość z tworzenia czegoś i z udania się. Największem nieszczęściem, jakie być może, jest życie bez pracy. Jest ona

podstawą wszystkich praw ludzkich. Ci, którym brak pracy, najnieszczęśliwszymi są na świecie; a jest ich tylu! A więcej nawet w tak zwanych sferach wyższych, aniżeli w niższych, — bo w tych ludzie muszą pracowoć, aby żyć, w czasie kiedy ci inni, przez fałszywe wychowanie, przesąd, i zwyczaj, który z pewnych kół wykreśla pracę, — skazani są na to nieszczęście. „Sześć dni musisz pracować“, powiedział Pan. Tą receptą niejedną nerwową chorobę uzdrowićby można. Życia nie powinno się tylko „używać“, ale też pożytecznie urządzać. Kto tego nie czuje, stracił swoje zdrowie umysłowe. „Życie nasze“, — powiada pewien mędrzec — „trwa przeciętnie siedmdziesiąt, a nawet ośmdziesiąt lat; u schyłku tegoż ten tylko szczęśliwym się czuje, którego życie nie przeszło bezczynnie: wspomnienie nawet pracy zdziałanej — chociażby połączonej z mozołem — daje szczęście“. I tak jest rzeczywiście. — Gonienie z jednej rozrywki do drugiej — ani w części nie daje tej przyjemności, jaką przysparzają rozrywki użyte jako wypoczynek, po spełnionej pracy i sumiennem wypełnieniu obowiązków.



Nowy system barwienia jedwabiu.

Bardzo doniosłe znaczenie dla fabrykantów i handlarzy jedwabiu mieć będzie wynalazek francuski, który umożliwia odbarwianie jedwabiu i barwienie go na nowo innym kolorem. W wielkich magazynach towarowych znajdują się nieraz znaczne zapasy jedwabiu, których barwa bądź nie zyskała amatorów wśród kupującej publiczności, bądź też wyszła z mody. Dotyczas zapasy te były stracone, a fabrykanci i handlarze narażeni na wielkie szkody. Nowo wynaleziona metoda pozwala je zużytkować na nowo, materya zostaje poddana długiemu i dość skomplikowanemu procesowi, który jednak nie wpływa na tkaninę, dzięki czemu trwałość i wartość nie ulega zmianie. Przedsięwzięte dotąd próby dały doskonałe rezultaty, najlepsi znawcy nie zdołali rozpoznać, że jedwab był dwukrotnie barwiony. Wynalazca pracuje obecnie nad wydoskonaleniem metody, a ponieważ rozpoczął dopiero starania o uzyskanie patentów, więc szczegóły metody utrzymuje jeszcze w tajemnicy. Znane pismo niemieckie „Textil-Industrie“, donosząc w jednym z ostatnich numerów o wynalazku, rokuje mu wielką przyszłość.



Miasto zabaw i miasto pracy.

Członek akademii, znakomity pisarz francuski, Prevost napisał dla jednego z dzienników niemieckich rodzaj kroniki paryskiej, w której opisuje między innemi lekkomyślny zbytek tam panujący. Paryż w czerwcu jest zepsuty i psujący. Proszę tylko odwiedzić jedną z niezliczonych restauracyi w lasku, gdzie wieczorem w czasie sezonu bogaci próżniacy obcy, zawodowe piękności i te wszystkie jednodniowe sławy dają sobie schadzkę. To, co każdego wieczora bywa wyrzucane za okno w Armenoville, w Madrid, albo w Pro Catalan — przewyższa wszystkie dozwolone granice.

Przed restauracyami stoją automobile w gęstych szeregach — budząca strach artylerya rozrywek. Utrzymanie takiego automobilu pochłania procent znacznego majątku. Niedawno czytaliśmy, że pewna Amerykanka, żona jakiegoś króla miedzi, płaci szoferowi 1,200 franków miesięcznie. Panowie tych robotników płatnych po książęcemu siedzą w restauracyach przy małych stolikach, zasypanych kwieciem. Rodzina robotnicza z trojgiem dzieci mogłaby żyć przez cały tydzień tylko za cenę tych kwiatów. Szyk mężczyzn nie narzuca się — tego żąda dobry ton, ale wielka perła na krawatce jednego z tych dżentelmenów warta jest co najmniej 100 luidorów. Stroje kobiece już otwarcie okazują szaloną rozrzutność. Na każdym kapeluszu jest 20 piór żadne poniżej 60 franków. Suknia letnia kosztowała w roku ubiegłym przeciętnie 800 franków, obecnie trzeba już za nią zapłacić 1,500 franków. Wydatki na klejnoty są obłędne. Naszyjniki o trzech rzędach pereł wielkości grochu można otrzymać już za 300,000 franków, ale są podobne naszyjniki za dwa miliony. Nie potrzeba być matematykiem, ażeby obliczyć, że czarująca dama światowa dla ozdobienia swoich ramion potrzebuje kapitału, którego procent roczny przewyższa 80,000 franków, nie licząc amortyzacyi, gdyż perły z czasem tracą na wadze. Ponieważ ta pani nie nosi każdego wieczora naszyjnika, więc jednorazowe jego użycie kosztuje około 300 franków.

Obok tej rozrzutności jest niczem cena obiadu najbardziej doborowego i kosztownego, płacona, co prawda, właściwie za fikcyę. Biesiadnicy, płacący za obiad lub każący za niego płacić przyjaciołom, nic bowiem nie jedzą, równie jak nie piją wina perlącego się w kieliszkach. Panowie i panie, prawie bez wyjątku, leczą się i piją wodę mine-

ralną, a jedzą jarzyny. Radują się, kiedy im lekarz zabronił tylko mięsa i ryb, a nie chleba.

Dalej atoli Prevost bierze w obronę ów zbytek, zapewniając, że rozrzutność jest jedynym środkiem skutecznym, ażeby pieniądz bogacza skierować do kalety ubogiego, że dotąd nie znaleźliśmy innej drogi do zrównania społecznego po za zbytkowymi potrzebami klasy posiadającej, że wielu z tych bogaczy zajmuje się żywo i celowo nauką, literaturą i sztuką, a odkrycia pasteurowskie, automobilizm, aeronautyka, znalazły szczodrych adeptów pomiędzy tymi panami z perłą za 100 luidorów.

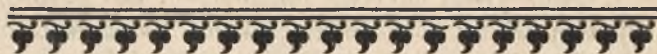
W Paryżu miasto pracy już od dziesiątków lat żyje w zgodzie z miastem zabaw. I z tego właśnie powodu jest Paryż tak miłym miejscem pobytu. Ludzie dłuta, pędzla, pióra spoglądają z przyjacielską ciekawością na życie ludzi zbytku, którzy ze czcią pochylają się przed bohaterami ducha, uważając pomaganie im za zaszczyt.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * * *

OCHRANIACZ USZU.

Wstrząśnienie powietrza przy strzelaniu z nowoczesnych dział są tak silne, że stojący obok człowiek głuchnie na chwilę całkowicie, a nie rzadko się trafia, że traci zupełnie słuch wskutek pęknięcia bębenków usznych. Zatkanie uszu watą czy czemś innem zapobiega wprawdzie ogłuszeniu, ale równocześnie uniemożliwia słyszenie jakichkolwiek innych dźwięków, więc żołnierz posługiwać się tym środkiem nie może.

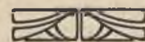
I zdawaćby się mogło, że wogóle nie znajdzie się środek, któryby ochraniał słuch przed silnemi falami głosowemi, a rówocześnie nie tamował słabszych. Zadanie to rozwiązał ostatnio jeden z inżynierów włoskich, nazwiskiem Mariotti. Aparat jego składa się ze szkła, mianowicie z dwóch kul szklanych różnej wielkości, które częściowo wchodzą w siebie. Mała kulka szklana umożliwia przytwierdzenie aparatu do ucha. Do większej kuli przytwierdzona jest jakby trąbka, przed którą znajduje się cienka płytka również ze szkła. Przez cały aparat przechodzi wąski kanał, prostopadle do niego umieszczony jest drugi, szerszy z obu stron otwarty. W chwili wstrząśnienia powietrza podczas wystrzału, fala głosowa przepływa z siłą przez kanał poprzeczny i na podstawie znanego prawa fizycznego ssie powietrze z węższego kanaliku. Wskutek tego powietrze w nim i wewnątrz ucha rozrzedza się, co uniemożliwia uderzenie fali głosowej o błony bębenkowe. Żołnierz prawie nie słyszy huku. Natomiast aparat nic mu nie przeszkadza w słyszeniu wszelkich cichszych głosów, fala głosowa dochodzi normalnie przez otwory, ponieważ wstrząśnienie jest za słabe, aby wywołać rozrzedzenie mogące wpłynąć na błonę będenkową.



TO I OWO.

Co to jest miliard?

Miliard albo tysiąc milionów pisze się w ten sposób: 1,000,000,000. Jak olbrzymią jest ta liczba, można widzieć z następujących przykładów: Rachując 1, 2, 3 itd. człowiek może naliczyć w minutę najwyżej sto, a w godzinę 6000. Dlatego, aby naliczyć miliard, musiałby człowiek bez przerwy i w dzień i w nocy, nie śpiąc i nie jedząc, rachować w ciągu 24 lat i 8 miesięcy. Wiadomo, że po przegranej w 1871 roku wojnie, Francya musiała Niemcom wypłacić 5 miliardów. Aby przewieźć 1 miliard w złocie koleją, potrzeba 64 wagonów, które pokryłyby szyny kolejowe na długość 400 yardów. Dla przewiezienia zaś miliarda w srebrze, potrzeba 1000 wagonów, których długość wynosiłaby 3 mile ang. Z miliarda monety złotej zrobionym drutem, możnaby opasać całą ziemię dokoła. Dla przeniesienia miliarda monety złotej potrzeba 6 tysięcy ludzi, jeżeli każdy z nich weźmie 25 funtów, a dla przeniesienia miliarda w srebrze potrzeba 500 tysięcy ludzi. Monety złote wartości 1 miliarda, ułożone jedna na drugą, utworzyłyby słup wysoki na 36 tysięcy yardów, a więc przeszło cztery razy wyższy od najwyższych gór na ziemi. A znajdują się ludzie, którzy posiadają po 8 do 10 miliardów. Czy są szczęśliwi? Nie zawsze, gdyż niektórzy z nich popełnili samobójstwo. Niedawno pozbawił się życia w Wiedniu znany bogacz Rotszyld. „I przez złoto łzy się leją“ mówi przysłowie.

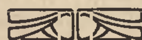


Język marek pocztowych.

Z okólnika rozesłanego przez dyrekcyę poczt w Dalmacyi do urzędów pocztowych w tym kraju dowiadujemy się, że ludzka pomysłowość wynalazła alfabet uczuć według przyklejania marek

pocztowych. I tak naprzykład marka przyklejona po prawej stronie u góry, oznacza obojętność, po lewej u dołu chęć widzenia się, po prawej u dołu nie możność przyjścia, po prawej stronie u góry, ale z marką przewróconą do góry nogami oznacza gniew, po prawej u dołu z marką przewróconą oznacza pogardę i nienawiść i tak dalej.

Owóż Włosi są teraz rozdrażnieni na Austryę z jednej strony o to, że nie zakłada uniwersytetu włoskiego, z drugiej, że wtrącono do więzienia mnóstwo młodych ludzi w Tryeście i w Trydencie za to, że pozakładali tam jakieś stowarzyszenia tajne, zmierzające do oderwania od Austryi ziem Włoskich. Wszystkie te związki uchwaliły tedy, żeby, dla okazania Austryi swego złego humoru, przylepiać marki przewrocone w prawej stronie u dołu koperty. Władze pocztowe w Dalmacyi i na wybrzeżu zwróciły uwagę, że ni z tego ni z owego, wszystkie listy są markowane w ten sposób, co służbie pocztowej daje ogromnie wiele do czynienia, gdyż automatyczne przestęplowywanie marek wymaga, żeby marka była przyklejona po prawej stronie u góry koperty. Wydały więc rozporządzenie, zakazujące nalepianie marek u dołu z marką przewroconą i oświadczyły, że traktować będą te listy jako niefrankowane. Na to adwokaci włoscy ogłosili w dziennikach włoskich, że wytoczą procesy o odszkodowanie, ponieważ takie rozporządzenie dyrekcyi pocztowej w Dalmacyi nie jest uzasadnione ustawami.



Molly, Polly, Dolly i Lolly.

Pod tymi imionami znają w całym Nowym Jorku cztery młode panny, obdarzone niezwykłemi zdolnościami. Molly, Polly, Dolly i Lolly są „córkami zwalczającemi hałas“, czyli dokładniej się wyraziwszy, córkami pani Isaac L. Rice, przewodniczącej stowarzyszenia ku zwalczaniu hałasu w Nowym Jorku, założycielki całego ruchu przeciwhałasowego. — „New York American“ opisuje w ładny sposób odszczególnianie się jakąś specyalnością każdej z właścicielek tych imion uciesznych. Polly jest poważną malarką, kontynuującą swe studya nadal pod kierownictwem malarza hiszpańskiego Sorolli, Dolly jest poetką, a Molly jest — rzadkością w świecie kobiecym — bo jest wybornym matematykiem. Odziedziczyła ten talent najniezawodniej po swym ojcu. Najmłodsza 17-letnia Lolly poświęciła się filozofii i filantropii. Rodzice dziewcząt przypisują zdolność swoich córek sposobowi, w jaki kierowali ich wychowaniem. Panny we wczesnej młodości nie mogły się uczyć systematycznie, ponieważ podróżowały bardzo wiele z rodzicami. Uzupełnili swoje braki prawie w dwójnasób w wieku późniejszym. W wychowaniu ich rodzice hołdowali zasadzie, nie zmuszać dzieci do niczego, co ich nie zajmowało i pozostawienia ich własnym skłonnościom (naturalnie wyjąwszy zbytki dziecinne). Córki wcale nie odziedziczyły po rodzicach zdolności muzykalnej, pomimo, iż ci oboje są bardzo muzykalni. Z tej też przyczyny zaniechano całkowicie udzielania córkom lekcyi muzyki. Dolly już jako dziecko czteroletnie zaczęła pisać wierszyki. Molly postanowiła zapisać się do Kollegium, by módz kontynuować swe studya matematyczne. Podczas egzaminu wstępnego powiedziano jej atoli, że pomimo wystarczającego przygotowania z dziedziny matematyki, nie może być na razie przyjętą, a to z powodu braku wiedzy w innych przedmiotach. Poradzono jej zarazem, by w ciągu lat trzech uzupełniła owe braki. Ten egzamin składała w lipcu. Molly oświadczyła jednak, że mimo to będzie uczęszczała do Kollegium. W przeciągu kwartału, to jest do września uczyła się tak pilnie, że uzupełniła wszelkie braki.

Zdania i myśli.

Figura nie zbawi.

Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swojem krzyża nie wystawi.

* * *

Zkąd męka.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata;
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

* * *

Gdzie niebo.

Do nieba patrzysz w górę a nie patrzysz w siebie:
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Łamigłówka do nagrody.

Zagadka w szaradzie.

Pierwsza jest przyimkiem — dobrze o tem wiecie,
Druga daje nazwę węża, a nie płaza,
Trzecia, to litera; masz ją w alfabecie.
Całość ten odkryje, kogo trud nie zraża.
Jestem przekonany o dobrym wyniku,
Bo *całość* ty *czytasz*, miły czytelniku.

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać najpóźniej do 20. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 44.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonych w nr. 40.:

W a r
N **i** l
N o **e**
u **l** e
k a t
k **o** t
ł u **p**
r **o** k
l e w
o **s** a
r a **k**
m **a** j

Wielkopolska

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Teofila Bieniedzka, Franciszek Biliński, Ludwika Bojukowa, Felicya Brachlówna, Marya Chciukówna, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Jan Gawron, Emil Gruszecki, H. Józefowicz, H. Koczwarówna, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Romuald Kulczycki, Roman Łazarewicz, Mila Makowiecka, Z. Maślakiewicz, Antoni Medveczky, Wacław Nowosielecki, ks. Wincenty Osikowski, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Stanisław Pec, Antoni Popiel, Celestyn Schoefer, Aleksander Stobiecki, Stefan Świdłowski, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Bronisława Szkaradkówna, Władysław Sztafiński, Stefania Wdówkówna, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Kazimierz, Stanisława i Helena Balcerscy, M. Bembnista, M. Brzezińska, Franciszek Ciałoń, Pola Cieślikowska, Janina Cieszyńska, Zofia Czarnowska, Wiesia Czypicka, Franciszek Dyllong, J. Głowacka, Zofia Gółkowska, Anna Hofman, Janina Idźkowska, Władysława Jakubowska, Janek z pod Góry Przemysława, Marya Jankowska, Halina Jarnatowska, Kazimierz Kaczmarek, Kornelia Kempa, Marya Konopińska, Jadzia Kubale, Jan Łaszczak, W. Leszczyńska, Kazia Markowiak, Zofia Matuszewska, Pelagia May, J. Nalaskowska, Iza Pągowska, Zofia Panieńska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Maryś Płazalski, Justyna Plecińska, Leokadya Przewoźniak, Melania Rosochowicz, Paweł Słomiany, Zofia Stachowska, Zofia Starkówna, Jan Strugarek, Świtała, Zosia Szczerbińska, W. Tyrakowska, Teodora Walińska, Józef Wawrzynkiewicz, Zofia Wesołowska, Stanisława Wolińska, Pelagia Zgaińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Pelagia Dłużewska z Rumelsburg (pod Berlinem, Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Brandenburgia), J. Dziegiecka z Euskirchen (?), Michał Kawczyński z Łukowac (Bośnia), Helena Kryszka z Berlina, Marynia Maćkowiak z Kastrop (Westfalia), Helena Musielak z Brukhausen nad Renem, Ludwik Schuetz z Berlina, Władysław i Helena Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Marta Wróbel z Berlina.

Nagrodę otrzymali:

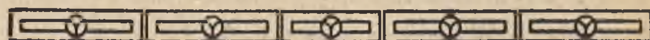
pp. Anna Hofman z Grodziska, Zosia Panieńska z Poznania, Stanisław Pietrzak z Strzyżewa kościelnego (p. Gniezno), Stefan Świdłowski z Samboru (Galicya).

Nowe książki.

Niebawem opuści prasę nowe wydawnictwo księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Sp. pod tytułem: **„Ojczyzna w piśmie i pomnikach"**, dzieło zawierające obraz piśmiennictwa polskiego napisane przez *Helenę Rzepecką.*

Książka ta zawiera cenny skarb przytoczeń (cytatów) z ważniejszych dzieł wszystkich epok naszego piśmiennictwa zwłaszcza tych pisarzy, o których utwory trudno w miejscowościach pozbawionych znaczniejszych bibliotek. Daje ona bogatą treść czytelnikowi, który znajdzie w niej gotowy już kompletnie materyał do wykładów, odczytów i deklamacyi. Tom I. zawiera pogląd na początki i rozwój kultury naszej wogóle na piśmiennictwo polsko-łacińskie, powstanie literatury rodzimej, złotego wieku zygmuntowskiego i siedemnastego. Tom II. rozbiera szczegółowo pisarzy stanisławowskich, naszą wielką literaturę narodową na wychodztwie i doby najnowszej.

Oba tomy zawierają przeszło 500 rycin i liczne barwne obrazy. Okładka artystyczna pomysłu artysty-malarza *Wiktora Gosienieckiego* z Gniezna wykonana z wyciskiem w kilku kolorach przedprzedstawia się okazale. Cena Mrk. 18 za oba tomy ze względu na obfitość materyału (60 arkuszy czyli około tysiąca stronnic) i mnogość rycin jest stanowczo umiarkowana tem więcej, iż dzieła nabywać można na raty po 3 mk. miesięcznie. To też nie wątpimy, że nowe wydawnictwo znajdzie u nas niebywały pokup.



DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZOWNA.

WRZOS

NR 42

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Uraczywszy ją — rzekła dalej — waszym szałem, złemi humorami, utrzymując ją z waszej kieszeni, ani się zatroszczycie o więcej. Musi być szczęśliwa i cnotliwa, bo jest waszą żoną! Zresztą strzeże jej dla was prawo, zwyczaje, konwenanse, opinia! Jesteście spokojni. Po odbyciu miodowych miesięcy, wracacie do swych kawalerskich nawyknień. Macie swój zawód i pracę, swoje stosunki i towarzystwo kolegów, klub, knajpę, ano i kochanki. Otóż, mój drogi, wierzę w Fenixy, Chimery i Świętego Greala, ale widzę, i czuję, i wiem, że każdy człowiek ma krew, zmysły, fantazyę, oczy, uszy i marzenie i mózg. Każdy — mężczyzna i kobieta. Ty będziesz kochać, szaleć jeszcze wiele razy, twoja żona uchowa swą cześć, nie opuści twego domu, będzie ci gospodynią i kucharką, ale serce jej możesz stracić, i stracisz, choć o tem nie będziesz wiedział ani tego odczujesz nawet, zasklepiony w swym egoizmie. Dlatego ja twoją żoną być nie chciałam.

— Żeby módz mnie rzucić, gdy kochać przestaniesz.

— Chociażby — odpowiedziała zuchwale.

— I czynisz to w tej chwili?

— Nie, gdyż jeszcze cierpię!

Wstała, zadzwoniła o światło.

W tej chwili wpadła do buduaru Bella, trzepiąc od progu.

— Wiecie, skąd wracam? Z pracowni Radlicza. Widziałam ten jego „Wrzos". Cudne! Zupełnie à la Boecklin historya. Stara sosna z ulem, pustka, wrzosowisko w kwiecie, blade jesienne niebo i boginka, pół kwiat wrzosu, pół kobieta, snująca z kądzieli białe pajęczyny. Śliczne, powiadam wam!

— A boginka portretowana? — spytała pani Celina ze śmiechem.

— A jakże! — odparła podobnież pani Bella — rzucając okiem w stronę Andrzeja.

Ale on ani słyszał rozmowy, ani wzroku nie widział. Siedział zamyślony, wzburzony poprzednią rozmową, zbuntowany i ponury. Szczebiot pani Belli denerwował go, czuł, że sam na sam skończone, prowadzić potocznej rozmowy nie był w stanie. Wstał i pożegnał się sztywnie. Pani Celina go nie zatrzymywała.

Gdy wyszedł, pani Bella ukłoniła się z gestem ulicznika i zachichotała szyderczo.

— Pst — posłyszy! — upominała pani Celina szeptem.

Andrzej poszedł do domu.

Zmrok był chmurny, deszcz padał, wicher gwizdał; stylowy jesienny wieczór dostrojony do jego humoru.

Otworzył zatrzask, wszedł. Lampa kopciła w przedpokoju, w domu panowała grobowa cisza. W jego gabinecie było ciemno. Zadzwonił na lokaja i czekał długo, zanim się Józef zjawił, widocznie zaspany.

— Dlaczego niema światła tutaj? Wywietrzyć przedpokój.

Spojrzał na swe biuro; zarzucone było bezładnie listami i gazetami..

— Co tu za nieporządek. Kurzu aż grubo! Jak ty sprzątasz! Czy pani niema?

— Nie, proszę pana. Jeszcze nie wróciła. Zawczoraj wyjechała.

— Wyjechała? A gdzie starszy pan?

— U siebie. Jest hrabia Kołocki.

Andrzej poszedł do gabinetu prezesa.

Kołocki właśnie wychodził, spotkali się we drzwiach.

— A! jesteś! Witam. Zostałbym, ale się spieszę na polowanie do Romana! Do widzenia. Ojciec ci powtórzy, z czem tu byłem! Wpadnę po odpowiedź. Uścisnął mu dłoń i wyszedł.

— Gdzie Kazia? — spytał żywo Andrzej.

— Otrzymała depeszę, że babka jakaś umiera i wzywa ją do siebie.

— Co za babka? Niema żadnej babki.

— Więc może ciotka! Powiedziała mi, że babcia Boguska umiera, była okropnie zmartwiona. Odwiozłem ją na pierwszy pociąg i nudzę się bez niej już dwa dni! Ten Kołocki! Nie wiedziałem, co mu zrobić, wyrzucić za drzwi, czy odesłać do Tworek.

— To żadna krewna ta Boguska, to babka jej ex-narzeczonego! Poco ojciec jej pozwolił jechać? Do czego to podobne?

Prezes się zastanowił, wreszcie rzekł:

— Pierwszy raz słyszę o tym narzeczonym! Gdzież on, jest tam?

— Nie, jakiś student, który gdzieś przepadł bez wieści, u Jukatów.

— No, więc co? Staruszka umiera, chce ją widzieć. Co w tem niestosownego? Ojciec jej tam jest. Zresztą, cóż ona niewolnica, żebym jej miał pozwalać, lub bronić? Żeby nie wypadało, sama by nie pojechała. A tyś kiedy wrócił?

— Dopiero co!

— Otóż posłuchaj, z czem przyszedł Kołocki. Ten Radlicz sportretował w jakimś obrazie Kazię i sprzedać nie chce.

— Co mnie do tego! — mruknął Andrzej.

— Kołocki dowodzi, że tobie będzie musiał sprzedać, więc żebyś użył swego wpływu i ten obraz dla niego kupił.

— Że też rodzina go nie zamknie w jakim zakładzie! — ruszył ramionami Andrzej i dodał czemś innem zajęty:

— Kiedy ma wrócić?

— Kto może określić. Po pogrzebie zapewne.

— Może ten wnuk, narzeczony wrócił?

— Licho wie, co ci po głowie chodzi. Ojciec jej telegrafował. Wiesz, że ja nie jadam w domu. Spróbowałem. Taki kram z kucharką i wszystko było podłe.

Andrzej chodził zamyślony po gabinecie, nie słuchał.

— Cóż tam w waszej fabryce? — zagaił prezes.

— Wszystko dobrze. Zjechała stara Zaleska, więc Markham nie tyle będzie w domu przesiadywać. Mogłem się uwolnić.

— To dobrze. Trzeba, żebyś był w domu jutro o drugiej. Wolska ma prezentować tego narzeczonego. No, chodźmy na obiad. Ten pusty dom stał mi się wstrętnym.

Ale Andrzej pożegnał ojca w bramie i poszedł szukać Radlicza, musiał się z nim widzieć.

Było to dość trudne przedsięwzięcie. Wstąpił do restauracyi, potem do cukierni, gdzie Radlicz zwykle bywał, nie znalazł go, dalej nie wiedział, gdzie iść, gdy szczęściem, spotkał Jóźwickiego redaktora i ten go objaśnił, że Radlicz ma być z nim właśnie na jakiemś koleżeńskiem zebraniu, że poszedł do domu przebrać się.

Jakoż Radlicz był u siebie, ale się nie stroił, leżał na kanapie, patrzał w sufit i coś nucił.

Drzwi były tylko przymknięte, więc Andrzej wszedł bez pukania.

— Ledwiem cię znalazł. Szukam w całem mieście. Mam do ciebie interes, prośbę, a przedewszystkiem, czy mogę cię uważać za szczerego przyjaciela? — zagaił po przywitaniu.

Radlicz patrzał na niego badawczo, poczem zaśmiał się po swojemu cynicznie.

— Hm! jakby to powiedzieć. Byłbym bardzo rad być twoim wrogiem, ale niestety, muszę być przyjacielem! O co chodzi?

— Powiedz mi, ty wiesz pewnie, co się dzieje z Celiną?

Radlicz spodziewał się zupełnie czegoś innego; chwilę się stropił.

— Z Celiną? — powtórzył. — Nie byłem tam od paru tygodni. Widziałem Bellę — mówiła, że wyjeżdżają do Włoch.

— Wyjeżdżają? Kto?

— Ano Celina z Bellą.

— I nikt więcej?

— A ktόżby? Może ty?

— Józef — ty łżesz! Ty wiesz, że tam ktoś jest nowy. Ja to czuję od dawna, ona mnie zdradza. I za co! Com zawinił! Szaleję za nią, ubóstwiam.

— Wiele sobie kobieta z tego robi, czy kto szaleje i ubóstwia, jeśli sama nie kocha! — mruknął Radlicz ponuro. — Co? Dała ci odprawę?

— Gorzej, bo czuję, że kłamie przez tchórzostwo, czy litość! Czuję, żem ją stracił. I za co?

— Za co? Za nic. Albo miłość bywa za coś? lub ustaje dlaczegoś? Jest to przyczyną bez skutku i skutek bez przyczyny. Nie mówię tego o was, ale jako teoryę. Celina może tylko jest zazdrosna.

— Ona mnie już nie kocha! — szepnął posępnie Andrzej. — Ona kocha innego. Żebym wiedział kogo?

— I co ci to pomoże? Choćbyś go zabił, nie wskrzesisz jej miłości, jeśli już umarła, a czy on się nazywa Jan, czy Paweł, to obojętne. Daj na mszę, że ona pierwsza kochać przestała, to wprawdzie gorzej boli, ale mniej dokuczy, jak rozkochana baba, gdy się o nią już nie dba.

— Józef — ty wiesz kto jest?

— Wiem, nazywa się Ali Baba. Przypadek, traf odkrył mu słowo zaklęcia do skarbów, a ty, zamiast stać przed skałą i łamać głowę, jak się napowrót tam dostać, idź, szukaj innych i wierz mi, lepiej być zdradzonym, jak przesyconym.

— Nie chcesz więc mi być przyjacielem!

— Owszem — i dlatego ci mówię. Jeśli się czujesz zdradzonym, nie upieraj się, nie bądź śmiesznym. Im więcej będziesz walczył o taką miłość, tem więcej wywalczysz rywalowi, a zdobędziesz zamiast obojętności, nienawiść. Mówisz, że czujesz w niej fałsz! Czego chcesz więcej fałszu?

— Kocham ją! Nie rozumiem życia bez niej. Pięć lat była mi wszystkiem. To nie może się zerwać. Ja jej nie dam nikomu.

— Ty nie, ale ona siebie da, komu zechce. Słuchaj, Jędrek, nie bądź głupi. Jeśli czujesz, że cię zdradza, pluń i bierz inną.

— Ale pierwej się zemszczę!

— Za co? Żeś nie potrafił jej utrzymać!

— Nie zmieniłem się w niczem!

— No, to się ona zmieniła, na jedno wychodzi. Chcesz się mścić, walczyć, zabić rywala, możesz, ale to ci szczęścia nie wróci. To już skończone. Szczęście ci wróci inne serce i usta.

Andrzej wstał, przeszedł się nerwowo po pracowni, stanął przed Radliczem.

— Więc stanowczo nie chcesz mi nic powiedzieć?

— Owszem, powiem ci, że jest śliczna pani Rudnicka. Onegdaj owdowiała!

— Bywaj zdrów, dowiem się i sam!

Gdy wyszedł — Radlicz wstał, wziął lampę, odsłonił płótno z obrazu na sztalugach, długą chwilę nań patrzał, wreszcie odstąpił z westchnieniem.

— I taką mając żonę, szaleć za starą awanturnicą! Ba, mnie i owszem. Niech jej nikt nie kocha, nikt nie pożąda, nikt nie posiada!

Andrzej po bezsennej nocy, rozdrażniony okropnie poszedł do pani Celiny. Zadzwonił, bo zapomniał wziąść ze sobą klucz od zatrzasku.

Po dość długiem oczekiwaniu otworzyła służąca.

— Pani już wstała? — rzekł, wchodząc, jak do siebie.

— Pani niema. Wyjechała dziś w nocy.

— Dokąd?

— Niewiem. Z kuframi na kolej.

— Sama? — pytał nie swoim głosem.

— Z panią Bellą.

— Nie zostawiła do mnie listu? Nie kazała nic powiedzieć?

— Kazała mieszkanie sprzątnąć i odnieść klucze do pana. Właśnie sprzątamy.

Słusznie, za mieszkanie on płacił, meble on kupował, zwracała mu wszystko, oprócz siebie. Służąca odeszła, stał jak skamieniały, ogłuszony, z chaosem w głowie, z krwią pulsującą gwałtownie. Od jakiegoś czynu szalonego uratował go w tej chwili drobiazg: cichy, dyskretny szept służącej za drzwiami i chichot tłumionego śmiechu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Bądź jutro w winnicy Noego, powiem ci, czego po tobie wymagam. Jak się nazywasz?

— Grakchus.

— A więc obywatelu Grakchusie, postaraj się, aby cię nadzorca Ryszard jutro ztąd wypędził.

— Cóż się stanie z moją posadą?

— Czy myślisz pozostać odźwiernym, mając pięćdziesiąt tysięcy luidorów?

— Nie, ale jako odźwierny i ubogi, wiem, że nie będę gilotynowanym?

— Pewno?

— Prawie z pewnością. — Kiedy tymczasem wolny i bogaty...

— Ukryjesz twoje pieniądze i będziesz się zalecał pończoszarce, nie zaś gospodyni szynku pod Winnicą Noego.

— A więc zgoda.

— Jutro w szynku.

— O której godzinie?

— O szóstej wieczorem.

— Uciekaj pan prędko. Otóż i oni... Uciekaj pan powtarzam, bo będzie źle.

— Do jutra zatem! — powtórzył Teodor uciekając.

W rzeczy samej, czas już mu było uciekać; stąpanie i głosy coraz się bardziej przybliżały. W ciemnem podziemiu widziano już blask światła.

Teodor dopadł drzwi jakie mu wskazał pisarz, który mu także i swej chatki odstąpił; odbił zamek, dostał się do wiadomego okna, otworzył je, spuścił się na ulicę i znalazł się na bruku rzeczypospolitej. Ale nim opuścił salę straconych kroków, mógł słyszeć jak obywatel Grakchus zadawał pytania Ryszardowi i jak tenże odpowiadał mu.

— Obywatel budowniczy miał zupełną słuszność; podziemie przechodziło pod pokojem wdowy Kapet. To rzecz bardzo niebezpieczna.

— I ja tak sądzę — rzekł Grakhus, któremu sumienie nakazywało głośno tę prawdę powiedzieć.

Santerre pokazał się nad otworem schodów.

— A twoi robotnicy, obywatelu budowniczy? — spytał Giraud'a.

— Będą tu przededniem i krata natychmiast zostanie ustawioną — odrzekł głos niby z wnętrza ziemi pochodzący.

— I ocalisz Francyą! — powiedział Santerre, trochę szyderczo, trochę seryo.

— Nie bardzo bym radził wierzyć temu, obywatelu generale — szepnął Grakchus.

X.

Królewskie dziecię.

Tymczasem odbywały się ciągle dalsze rozpoznawania sprawy królowej; przewidywano, że od tak dawna wrząca nienawiść ludu, uśmierzy się nakoniec ofiarą tej dostojnej głowy.

Jakoż nie brakowało dowodów przeciw niej świadczących, a jednak Fouquier-Tinville, ten śmiertelny oskarżyciel, nie zaniedbał nowych jeszcze środków oskarżenia, których mu Simon dostarczyć przyrzekł.

Nazajutrz po spotkaniu się z Simonem w sali straconych kroków, szczęk broni znowu przeraził więźniów, którzy jeszcze w Temple pozostali.

Więźniami tymi byli księżna Elżbieta, królewska córka i dziecię, które w kolebce nazywano Najjaśniejszem, a teraz tylko małym Ludwikiem Kapet.

Generał Santerre z trójkolorową szarfą i wielką szablą, na swym tłustym koniu, w towarzystwie kilku gwardzistów narodowych wjechał do wieży, w której jęczało królewskie dziecię.

Przy boku jego szedł złowrogiej miny protokólista, z kałamażem w ręku, plikiem papierów

pod pachą, wywijając nadzwyczaj długiem piórem. Za nim postępował publiczny oskarżyciel.

Widzieliśmy już, znamy i obaczymy później jeszcze tego suchego, żółtego i zimnego człowieka, który nawet w dzikim generale Santerre, krwawem spojrzeniem wzbudzał drżenie.

Resztę orszaku stanowiło kilku narodowych gwardzistów i porucznik.

Simon z chytrym uśmiechem na ustach, trzymając w jednem ręku swą niedźwiedzią czapkę, w drugiem pociągiel, prowadził komisyą i wskazywał jej drogę.

Przyszli do pokoju dosyć czarnego, obszernego i pustego, gdzie w głębi siedział na łóżku, zupełnie nieruchomy młody Ludwik.

Kiedyśmy widzieli to nieszczęśliwe dziecię, uciekające przed zwierzęcą zajadłością Simona, istniał w niem jeszcze pewien rodzaj żywotnej siły, oddziaływającej przeciw niegodnemu postępowaniu szewca z Temple; uciekało, krzyczało, płakało, a więc bało się, cierpiało i miało nadzieję. Dziś, obawa i nadzieja już znikły; cierpienie zaś istniało zapewne, a to męczeńskie dziecię, któremu w tak okrutny sposób kazano opłacać błędy rodziców, kryło je na samem dnie serca i osłaniało pozorem zupełnej nieczułości. Nie podniosło więc głowy gdy się komisarze ku niemu zbliżali.

Oni zaś, bez żadnych przygotowań zasiedli na krzesłach, mianowicie: oskarżyciel publiczny u wezgłowia łóżka, Simon w nogach, protokólista przy oknie, gwardziści i porucznik po bokach, nieco w cieniu.

Ci z obecnych, którzy z niejakiem zajęciem a nawet ciekawością patrzyli na małego więźnia, dostrzegli w nim bladość, szczególną jakąś tuszę, która była tylko opuchnięciem i niezwykłą giętkość w nogach, których stawy nabrzmiewać zaczynały.

— To dziecię jest bardzo chore — rzekł porucznik tak stanowczo, że aż Fouquier-Tinville obrócił się, mimo, że już siedział i badać zamyślał.

Mały Kapet podniósł oczy i szukał tego, kto mówił te słowa, i w rzeczy samej poznał młodzieńca, który niegdyś na dziedzińcu w Temple, obronił go od razów Simona. Słodki i pełen rozsądku wyraz wdzięczności zabłysł w jego ciemnoniebieskiej źrenicy, ale na tem się wszystko skończyło.

— Ah! ha! to ty, obywatelu Lorinie — rzekł Simon, zwracając tym sposobem uwagę Fouquier-Tinvilla na przyjaciele Maurycego.

— Ja sam, obywatelu Simonie — odparł nieustraszony Lorin. A chociaż zawsze gotów stawić czoło niebezpieczeństwu, niechcąc jednak szukać go nadaremnie, korzystał z okoliczności i pozdrowił Fouqier-Tinvilla, który mu także oddał grzeczny ukłon.

— Uczyniłeś uwagę, obywatelu — rzekł publiczny oskarżyciel — że to dziecię jest chore; czy jesteś lekarzem?

— Choć nim nie jestem, ale uczyłem się medycyny.

— No, to powiedz co mu jest.

— To jest, mam powiedzieć jakie są oznaki choroby? — spytał Lorin.

— Tak jest.

— Widzę, że ma oczy i policzki nabrzmiałe, ręce blade i wychudłe, kolana opuchłe, a gdybym mu dotknął pulsa, ręczę, że bije 85 do 90 razy na minutę.

Dziecię zdawało się nie zwracać uwagi na to wyliczanie jego cierpień.

— I jakiejże przyczynie nauka przypisać może ten stan więźnia? — zapytał publiczny oskarżyciel.

Lorin podrapał się w ucho, mrucząc:

Filis sądzi, że mię znęci
Do mówienia mimo chęci.

— Na honor! obywatelu — odpowiedział — nie znam tak dalece organizmu małego Kapeta, iżbym ci mógł odpowiedzieć... jednak...

Simon nadstawił ucha i śmiał się w duszy, widząc, że jego nieprzyjaciel tylko co się nie skompromitował.

— Jednakże — dodał Lorin — sądzę, że zamało ma ruchu.

— Bardzo wierzę — rzekł Simon — ten mały łotr wcale chodzić nie chce.

Ta apostrofa szewca żadnego wrażenia nie zrobiła na dziecięciu.

Fouquier-Tinville wstał, zbliżył się do Lorina i rozmawiał z nim po cichu. Nikt nie słyszał co mówił publiczny oskarżyciel, widocznie jednak o coś się wypytywał.

— Oh! oh! i ty temu wierzysz obywatelu?... nie matka by tego nie popełniła.

— W każdym razie, dowiemy się o tem — rzekł Fouquier. — Simon utrzymuje, że sam słyszał jak mu to mówiła, i gotów jest powiedzieć jej to w oczy.

— Byłoby to haniebnie — odparł Lorin — ale wszystko być może; Austryaczka nie jest zapewne wolna od grzechu, ale tak czy nie, to do mnie nie należy... zrobiono z niej Messalinę, lecz nie poprzestawać na tem i chcieć z niej jeszcze zrobić Agripinę, ha! wyznam, że to trochę za wiele.

— Tak nam przynajmniej raportuje Simon — rzekł niewzruszony Fouquier.

— Nie wątpię, że Simon mógł to powiedzieć, są ludzie, których żadne, a nawet i niepodobne oskarżenie nie przeraża. Ale ty obywatelu — mówił dalej Lorin śmiało patrząc w oczy Fouquiera — który jesteś silnym, czyż nie sądzisz, że wypytywać dziecię o tego rodzaju szczegóły, dotyczące osoby, którą najnaturalniejsze i najświętsze prawa przyrodzenia nakazują mu szanować, jest to prawie znieważać całą ludzkość w osobie tego dziecięcia?

Oskarżyciel ani mrugnął, ale wydobył z kieszeni papier i pokazał go Lorinowi.

— Konwencya rozkazuje, abym dopełnił śledztwa — powiedział — przystępuję więc do śledztwa, mniejsza o resztę.

— Słusznie — rzekł Lorin — i jeżeli to dziecię wyzna... — dodał, wzdrygając się z odrazą.

— Wreszcie — mówił znowu Fouquier — postępowanie nasze nie jest skutkiem samej tylko denuncyacyi Simona; patrz, oto oskarżenie publiczne — dodał wyjmując jakiś papier z kieszeni.

Był to numer dziennika zwanego Ojciec Duchesne, redagowanego, jak wiadomo, przez Heberta.

Dziennik ten w rzeczy samej zawierał najwyraźniejsze oskarżenie.

— Napisano, a nawet wydrukowano — powiedział Lorin — ale podobnie jak ty sam, mimo Simona i Heberta, nie uwierzę aż usłyszę to oskarżenie z własnych ust dziecięcia, rozumie się, skoro je uczyni dobrowolnie, swobodnie, bez gróźb!...

— Przystępujemy do badania — rzekł publiczny oskarżyciel — protokólisto bierz pióro do ręki.

Protokólista napisał wstęp do zeznań i równie jak Simon, Santerre i wszyscy inni, czekał na koniec rozmowy Fouquier-Tinvilla z Lorinem. Samo tylko dziecko zdawało się być obojętnym widzem sceny, której było głównym aktorem i przybrało znowu bezwładne spojrzenie, które na chwilę rozjaśnił blask wzniosłego rozsądku.

— Uciszcie się! — zawołał Santerre — obywatel Fouquier-Tinville będzie zadawał pytania temu dziecku.

— Kapet — rzekł oskarżyciel — czy wiesz co się stało z twoją matką?

Marmurowa bladość znikła z twarzy małego Ludwika, ustępując miejsca pałającej czerwoności; nie odpowiedział jednak ani słowa.

— Czy słyszałeś mię Kapecie? — zaczął znowu oskarżyciel.

To samo milczenie.

— O! on słyszy bardzo dobrze — odezwał się Simon — ale jest jak małpa, która niechce odpowiadać z obawy, aby jej nie wzięto za człowieka i nie kazano pracować.

— Odpowiadaj Kapecie — rzekł Santerre — komisarze konwencyi przyszli cię badać, a winieneś im posłuszeństwo.

Dziecię zbladło, ale nie odpowiedziało.

Simon wściekle mu pogroził; gniew u głupców i brutalów jest jak drugie opilstwo, bo mu towarzyszą obrzydłe oznaki prawdziwego opilstwa.

— Odpowiesz ty wilczku! — zawołał pokazując mu pięść.

— Milcz Simonie — rzekł Fouquier-Tinville — nie masz głosu.

Wyrwało mu się to słowo, do którego nawykł w rewolucyjnym trybunale.

— Czy słyszysz Simonie — powiedział Lorin — nie masz głosu; już to drugi raz mówią ci to w obec mnie; raz było to, kiedyś oskarżał córkę starej Tison, której podobało ci się kazać uciąć głowę.

Simon umilkł.

— Czy twoja matka kochała cię, Kapecie? — spytał Fouquier.

Dziecię milczało.

— Mówią że nie — ciągnął dalej publiczny oskarżyciel.

Coś na kształt bladego uśmiechu przebiegło po ustach dziecięcia.

— Ale kiedy wam powiadam — ryknął Simon — że on mówił mi, iż go matka za nadto kochała.

— Widzisz Simonie, jak to przykro, że mały Kapet, tak rozmowny będąc z tobą sam na sam, przy ludziach jest zupełnie niemy — rzekł Lorin.

— O! gdybyśmy tu byli sami! — odparł Simom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

— Nie chcę utrzymywać przed panami w tajemnicy — dodał — iż chodzi tu o bardzo poważną rzecz, że marszałek Lannes upatrzył sobie w tym celu oficera kawaleryi, gdyż łatwiej go można będzie zastąpić, niż któregokolwiek z piechoty lub inżynieryi. Żonaci nie wchodzą tu w grę. Kto zgłasza się na ochotnika?

Nie mam i chyba potrzeby dodawać, iż wystąpili wszyscy oficerowie kawalerowie. Pułkownik spojrzał dokoła trochę zakłopotany. Widziałem to po nim. Najlepszy miał iść, ale tego najlepszego nie chciał się wyrzec.

— Panie pułkowniku — odezwałem się — czy mogę panu coś zaproponować?

Spojrzał na mnie bystro, gdyż nie zapomniał jeszcze moich uwag przy wieczerzy.

— Mów pan — rzekł.

— Chciałem wskazać na to — mówiłem — że to polecenie musi według prawa i rozsądku paść na mnie.

— Jakto, panie rotmistrzu Gerard?

— Według prawa, ponieważ jestem rotmistrzem pierwszej klasy, a ze względu na rozsądek, ponieważ mnie najmniej może zabraknąć w pułku, gdyż ludzie jeszcze mnie nie poznali.

Wzrok jego złagodniał.

— Właściwie masz pan słuszność, panie rotmistrzu — odparł. — W istocie sądzę, iż pan najlepiej nadaje się na to, abyś się podjął tego zlecenia. Jeżeli pan się chce udać za mną, wydam panu zaraz instrukcye.

Wychodząc, życzyłem mym nowym towarzyszom broni spokojnej nocy i upomniałem ich raz jeszcze, iż o godzinie piątej rano stawię się na placu. Skłonili się w milczeniu, a po ich minach poznałem, że zaczęli inaczej cenić moją wartość.

Przypuszczałem, iż pułkownik opowie mi zaraz szczegóły zadania, które mnie czekało, tymczasem kroczył w milczeniu, a ja za nim.

Szliśmy przez obóz, przez szańce i ruiny kamienne, resztki muru miejskiego. Następnie posuwaliśmy się przez cały szereg kurytarzy, prowadzących wśród gruzów domów, które nasi pionierzy wysadzili w powietrze.

Szerokie pola były usłane odłamkami kamieni i gruzami, a dawniej znajdowało się tam bogate przedmieście.

Marszałek Lannes kazał pozakładać drogi i na rogach poumieszczać latarnie i napisy, aby się było można zoryentować.

Pułkownik pędził naprzód, aż wreszcie po długiej wędrówce stanęliśmy przed wysokim szarym murem, który zagradzał nam dalszą drogę. Tu poza barykadą znajdowała się nasza straż przednia.

Wprowadził mnie do chałupy bez dachu, gdzie znalazłem dwóch oficerów ze sztabu, mających przed sobą mapę rozwiniętą na bębnie. Klęczeli nad nią i przyglądali się jej uważnie przy świetle latarki. Jednym z gładko wygoloną twarzą o długiej szyi, był marszałek Lannes, drugim był generał Razout, który stał na czele korpusu inżynierskiego.

— Rotmistrz Gerard zgłosił się na ochotnika — rzekł pułkownik.

Lannes powstał i uścisnął mnie silnie za rękę.

— Jesteś pan dzielnym żołnierzem, panie rotmistrzu — rzekł. — Mam panu wręczyć podarunek — mówił dalej, podając mi małą rurkę szklanną. — Jest to specyalny preparat dra Fardeta. W razie koniecznej potrzeby przyłożysz pan otwartą rurkę do ust i zginiesz natychmiast bez bólu.

Był to nie bardzo zachęcający wstęp. Muszę się wam przyznać, panowie, że przeszło mnie mrowie, a włosy stanęły mi dębem.

— Przepraszam, ekscelencyo — rzekłem salutując — wiem doskonale, iż zgłosiłem się do bardzo

niebezpiecznego przedsięwzięcia, ale nie podano mi jeszcze bliższych jego szczegółów.

— Panie pułkowniku — rzekł Lannes surowo — to przecież nie ładnie, iż przyjąłeś pan zgłoszenie tego dzielnego oficera, nie wyjaśniając mu przedtem niebezpieczeństwa, na jakie się naraża.

Odzyskałem tymczasem już moją zwykłą odwagę.

— Panie generale! — zawołałem. — Pozwól mi pan zrobić jedną uwagę: im większem jest niebezpieczeństwo, tem większą też i sława. Żałowałbym, zgłosiwszy się na ochotnika, gdyby sprawa nie była połączona z jakimś niebezpieczeństwem.

Było to powiedziane po bohatersku, a moje wystąpienie dodało mym słowom szczególnego nacisku. I stałem w tej chwili naprawdę jak bohater.

Gdy ujrzałem zdumione spojrzenie marszałka, zadrżałem z rozkoszy na myśl, jak wspaniały czeka mnie pierwszy występ w Hiszpanii. Gdybym był umarł lub zginął tej nocy, nazwisko moje przeszłoby do potomności, niktby go nie zapomniał. Moi nowi towarzysze broni, a tak samo i starzy przy zetknięciu się opowiadaliby sobie z czcią i miłością o rotmistrzu, który dokonał tylu czynów bohaterskich i zginął taką chwalebną śmiercią.

— Panie generale — rzekł marszałek do Razouta — wyłuszcz pan całą sprawę.

Oficer inżynieryi powstał. Z kompasem w ręku wyprowadził mnie do drzwi i pokazał ten szary mur, który wysterczał wśród gruzów domów.

— To obecna linia obronna nieprzyjacielska — rzekł. — Są to mury starego klasztoru Madonny. Jeżeli go zdobędziemy, miasto poddać się musi. Ale pozakładali wszędzie miny podziemne, a mury są tak grube, że byłoby niesłychanie ciężką pracą artyleryi, zrobienie w nich wyłomu. Przypadkowo dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel w jednej z najniższych piwnic umieścił znaczny zapas prochu. Gdyby nam się udało spowodować tam wybuch, mielibyśmy wolne przejście.

— Jak to zrobić? — zapytałem.

— Zaraz to panu wyjaśnię. W mieście znajduje się agent francuski nazwiskiem Hubert. Ten dzielny człowiek utrzymuje z nami stałe stosunki i przyrzekł nam, że magazyn ten wysadzi w powietrze. Ma się to stać nad ranem, a od dwóch dni czeka oddział szturmowy tysiąca grenadyerów, aby powstał wyłom. Dotychczas wybuch nie nastąpił, a od Huberta nie posiadamy żadnych wiadomości. Chodzi o to, aby się dowiedzieć, co się z nim stało.

— Życzysz pan sobie zatem, abym się rozejrzał i odszukał go.

— Zupełnie słusznie. Chory, ranny, czy nie żyje? Czy mamy czekać na niego, czy też mamy się starać o zajęcie miasta inną drogą? Tej sprawy nie możemy rozstrzygnąć, dopóki nie będziemy mieli pewności, co do losu Huberta. Tu jest plan miasta, panie rotmistrzu. Widzisz pan, że wśród tego pierścienia klasztorów znajduje się czworoboczny plac, z którego wypływa mnóstwo ulic. Gdy znajdziesz się pan na tym placu, spostrzeżesz w rogu katedrę. Tam zaczyna się ulica Toledańska. Hubert mieszka w małym domku między szewcem i winiarnią, po prawej stronie od kościoła. Zrozumiano?

— Najzupełniej.

— Musisz pan wejść do tego domku, porozmawiać z Hubertem i dowiedzieć się, czy plan jego jest możliwy do wykonania, czy też nie możemy już liczyć na to.

Wyciągnął jakiś węzełek, który zawierał w sobie jakieś brudne, bronzowe szaty.

— To habit Franciszkanina — rzekł. — Zobaczysz pan iż to najlepsze przebranie.

Odskoczyłem, jak oparzony.

— Zmieniacie mnie panowie w szpiega! — zawołałem. — Czy nie mogę zatrzymać munduru?

— To niemożliwe. Jakże chodziłbyś pan w nim po mieście, nie narażając się na schwytanie? Zastanów się pan także, iż Hiszpanie nie biorą jeńców do niewoli, i że los pański jest jednakowym w każdym ubiorze, gdy się pan dostaniesz w ich ręce.

Mówił prawdę, gdyż byłem dość długo w Hiszpanii, aby się przekonać, iż ten los był gorszym od samej śmierci. W całej mojej podróży od granicy do Saragossy nasłuchałem się dosyć najstraszniejszych historyi o katuszach, oszpeceniach, i okaleczeniach, którym poddawano jeńców francuskich.

Wpakowałem się w habit Franciszkanina.

— Jestem gotów! — rzekłem.

— Masz pan broń przy sobie?

— Mój pałasz!

— Usłyszą jego brzęk. Weź pan ten sztylet, a pałasz zostaw tutaj. Powiedz pan Hubertowi, że przed świtem o czwartej rano kolumna będzie gotowa do szturmu. Na dworze stoi sierżant, który pokaże, jak dostać się do miasta. Dobranoc, a życzę powodzenia.

Nim jeszcze zdążyłem wyjść z izby, obaj generałowie pochylili się już nad mapą, a zetknęli głowy tak blisko, iż ich pirogi się stykały.

Przed drzwiami stał podoficer inżynieryi i czekał na mnie. Ścisnąłem na sobie więcej pasek mej szaty, zdjąłem czako i włożyłem na głowę kapuzę mnisią. Usunąłem następnie ostrogi i poszedłem w milczeniu za moim przewodnikiem.

Musieliśmy postępować ostrożnie, gdyż na murach stały straże hiszpańskie i strzelały bezustannie do naszych pikiet. Przemknęliśmy się obok wielkiego klasztoru i wśród gruzów doszliśmy do wielkiego drzewa orzechowego. Tutaj sierżant się zatrzymał.

— Po tem drzewie łatwo się wydrapać w górę — rzekł. — Drabina ze szczeblami nie byłaby wygodniejszą. Właź pan na górę, z najwyższej gałęzi możesz się pan dostać na dach tego domu. Ztąd musi pana poprowadzić już pański Anioł Stróż, gdyż ja panu więcej pomódz nie mogę.

Podniosłem do góry habit i wdrapałem się na drzewo. Była pierwsza kwadra i księżyc świecił jasno. Czarny dach rysował się wyraźnie na tle jasnego nieba. Drzewo stało w cieniu domu.

Wspinałem się powoli z gałęzi na gałęź, aż wreszcie doszedłem prawie do wierzchołka. Miałem się już tylko dostać na gruby konar, aby się przenieść na mur.

Nagle usłyszałem kroki. Przycisnąłem się do pnia, aby się ukryć w jego cieniu. Po dachu przesuwał się jakiś człowiek wprost na mnie. Ujrzałem, jak się ta ciemna postać czołga na brzuchu z wyciągniętą głową, a przy jego boku dostrzegłem wystającą lufę muszkietu. Jego zachowanie się świadczyło o ostrożności i podejrzeniu. Raz czy dwa razy się zatrzymał, a potem przyczołgał się aż do muru w odległości kilku kroków odemnie.

Tu zatrzymał się i wypalił.

Ten nagły huk strzału o mało nie przyprawił mnie o upadek z drzewa, taki był dla mnie niespodziany.

W pierwszej chwili sądziłem iż jestem ugodzony kulą. Gdy jednakowoż z dołu doszedł mych uszu bolesny jęk, a Hiszpan pochylił się i zaśmiał głośno, domyśliłem się od razu, co się stało. Mój biedny wierny sierżant czekał na dole, aby się przypatrzeć, jak będę przełaził przez mur. Hiszpanie spostrzegli go pod drzewem i strzelili do niego.

Zarzucicie mi tutaj panowie, iż w nocy strzelać nie można, ale musicie wiedzieć, że ci ludzie nabijają swoje karabiny rozmaitymi kawałkami żelaza, kamykami i żwirem, tak, iż każdego trafiają tak pewnie, jak ja, który ściągnę kulą cietrzewia na toku.

Hiszpan spojrzał więc w dół, a sierżant jękiem dawał znać, że jeszcze żyje. Być może, iż chciał temu przeklętemu Francuzowi zadać cios śmiertelny, może pragnął tylko przeszukać jego kieszenie — dość, że odłożył broń na bok, pochylił się naprzód i skoczył na drzewo. W tej chwili wpakowałem mu sztylet w serce. Spadł na ziemię łamiąc z trzaskiem kilka gałęzi. Słyszałem jeszcze na dole jakieś szamotanie się i kilka przekleństw, wyrzeczonych po francusku. Raniony sierżant nie długo czekał na odwet.

Zachowałem się spokojnie przez kilka minut, gdyż było dla mnie zupełnie jasną rzeczę, iż po strzale ktoś się przecie pojawi. Ale panowała zupełna cisza, którą przerywały tylko uderzenia zegarów wieżowych, zwiastujących północ.

Posunąłem się wzdłuż konara i stanąłem na dachu.

Karabin Hiszpana leżał tam co prawda, ale dla mnie był nieprzydatny, ponieważ nie było rożka z prochem. Gdyby ten karabin znaleziono, byłby zdradził nieprzyjacielowi, iż coś się tu stać musiało, to też po krótkim namyśle cisnąłem go za Hiszpanem.

Zacząłem się rozglądać, w jaki sposób dostaćby się z dachu na ziemię.

Przyszło mi na myśl, iż stanowczo najłatwiej dostanę się tą drogą na dół którą Hiszpan wlazł na górę. Jaka to była droga, zaraz opowiem. Z dachu odezwał się jakiś głos, który wołał:

— Manuelo! Manuelo!

Ukryłem się w cieniu i spostrzegłem, że z dachu wysunęła się jakaś brodata głowa.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje wołanie, wyszedł na dach, a za nim ukazało się jeszcze trzech drabów, uzbrojonych od stóp do głów.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Mrok gęsty okrywał okolice... gdy pierwsze działa zagrzmiały, a twierdza, jakby czuwała i była przygotowaną, natychmiast zażywnym ogniem odpowiedziała.

Z gorączką wielką pułki amerykańskie i francuzkie rzuciły się przeciwko murom i palisadom; spodziewano się ubiedz Anglików nieprzygotowanych, ale czy skutkiem zdrady, czy ostrożności, nieprzyjaciel się okazał gotowym do odporu.

Na czele Francuzów z męstwem godnem swego narodu, szedł sam admirał d'Estaing, amerykańscy generałowie nie dając się ubiedz współzawodnikom, z zapałem wpadli na bastion. Zdawało się, że temu uraganowi ludzi nic oprzeć się nie zdoła.

Wschodzący poranek oświecił bitwę zaciętą, okrutną, z obu stron rozżartą jakiemś uczuciem plemiennej nienawiści. Francuzkie oddziały miotały się jak burza, i po trupach rwały na mury i wały, ale za każdą razą ogień Anglików z wielką stratą ich odpychał, a trupy nowe świadczyły o męstwie, z jakiem szli nieustraszeni..

Pułaski czekał rozkazów, dotąd nie był jeszcze w boju, i już go to niecierpliwiło, gryzł wąsy.

Dzień się robił, gdy zżymawszy się z gniewem, spiął konia i pobiegł sam do Lincolna...

W tej chwili prawie z twierdzy jak chmura nawalna wysypali się Anglicy, czyniąc zuchwałą wycieczkę.

Chcieli oni słabnący widocznie atak odeprzeć stanowczo wstępnym bojem i czerwony zastęp potoczył się po piasczystej dolinie.

— Generale — zawołał podbiegając Pułaski, który z oka twierdzy nie spuszczał. — To chwila albo żadna, do śmiałego, decydującego kroku! Widzisz lukę otwartą, pomiędzy temi dwiema bateryami... to droga, którą ja z moim oddziałem wpadnę pomiędzy twierdzę a Anglików i odetnę ich od niej. Któż wie! może mi się udać, nawet wpaść do miasta! do twierdzy! Już raz dziś na okopach nieprzyjacielskich powiewała francuzka chorągiew. Sam ją widziałem, ale te siarczyste Francuziki zdobyć to umieją, utrzymać nie potrafią.

Lincolna, który był bardzo posępniał, gorąca mowa Pułaskiego odżywiła.

— Wycieczka ta niebezpieczna — rzekł — możesz wszystkich ludzi stracić... baterye we dwa ognie cię wezmą, Anglicy się zwrócą na was...

— Padnę jak piorun — zawołał — podnosząc szablę Pułaski — rozkazuj, pozwól.. a twierdza nasza!

— Czyń jak chcesz... niech Bóg błogosławi — ale...

Reszty już nie słyszał Pułaski, dał koniowi ostrogę i popędził do oddziału. Stanął przed frontem jego z szablą obnażoną, ognisty, natchniony, jakby już opromieniony tryumfem. —

— Bracia — zawołał — za mną... idziemy w ogień, ale my zdobędziemy twierdzę... za mną! komu honor miły!

Oddział, z którym szedł Pułaski składał się cały z dwóchset koni, ale w istocie bardzo dobrego ochotnika. Oficerowie jak Pluta, Rogowski, Armand Francuz, przyjaciel Pułaskiego i przybyły później Jerzmanowski, wszyscy się odznaczali odwagą i krwią zimną w boju...

Widok walki rozpoczętej bez nich, godzina bezczynności podnieciła i w żołnierzu męstwo do najwyższego stopnia. Zazdrościli Francuzom ich nieustraszonej odwagi i nieraz ale podwakroć zatkniętego na okopach sztandaru.

Gdy głos Pułaskiego dał się słyszeć, cały oddział jednym duchem natchniony, jako mąż jeden rzucił się wskazaną drogą. Wódz leciał przodem...

Ciąg dalszy nastąpi).



DZIAŁ KOBIECY.

Wychowanie dzieci w Anglii.

Zdanie Ellen Key, że wiek obecny jest wiekiem dziecka, nigdzie chyba tak nie bije w oczy swą prawdą, jak w Anglii. Rząd, organizacye społeczne, stowarzyszenia i jednostki, podają sobie zgodnie ręce w pracy nad wychowaniem młodego pokolenia i przygotowaniem krajowi dzielnych obywateli.

Wystarczy przejść przez ulice Londynu, aby przekonać się, że dziecko jest tu *persona grata*, każdy ma dla niego uśmiech, każdy ustępuje mu z drogi i zwraca uwagę na jego bezpieczeństwo. Wystawy sklepowe są przepełnione tysiącem zabawek, a piękne woreczki, śliczne ubranka i wspaniałe wyprawki wystawione w oknach wskazują, że myślą z miłością nietylko o tych co są, lecz i o tych co przybyć mają!

Gdy taki młody obywatel przyjdzie na świat, otrzymuje najlepszy w domu pokój zwany nursery i niańkę czyli nurse. Jeden rzut oka na nursery wystarczy, aby się przekonać, że panuje w nim hygiena dziecka: jest on widny, obszerny, pokryty linoleum i cały biały; stoi w nim łóżeczko, szafa z bielizną, umywalnia i łóżko nurse'y. Nurse jest to całkiem nieznane u nas stworzenie, matka, niańka, opiekunka, pielęgniarka i początkowa nauczycielka w jednej osobie, jednem słowem specyalistka od pielęgnowania dzieci. Skończyła specyalną szkołę, w której uczyła się takich rzeczy, jak hygiena dziecka, odżywianie dziecka, anatomia, choroby dziecinne i t. p.; przez czas jej nauki baczną zwracano uwagę na jej charakter; taka, która okaże brak cierpliwości, zamiłowania porządku, brak sympatyi dla dzieci i t. p. zalet, nie otrzymuje świadectwa, każda więc nurse lepiej się zna na pielęgnowaniu dziecka niż niejedna matka. Ona dziecko myje, kąpie, przebiera, ściele łóżeczko, (kołysek w Anglii nie używają) pilnuje czystości pokoju, sprzętów i t. p., ona dziecku daje pokarmy, o ile matka go nie karmi, jest jednem słowem taką panią w nursery, jak kucharka w kuchni, a jej pani w salonie.

Mały dzidziuś otulony w koronki, jedwabie, hafty i futra przepędza cały dzień na powietrzu w parku, których jest mnóstwo w Londynie. Od wczesnego ranka można widzieć jak przez bramy wszystkich ogrodów ciągną procesye nurses z wózkami; fale te wylewają się z ogrodu w godzinach jedzenia, by w jakiś czas potem znowu powrócić.

Gdy maleństwo podrośnie, państwo jego rozszerza się; nursery składa się już z dwóch pokojów, a ten drugi jest jego pokojem bawialnym, pokryty jest dywanem, na ścianach zawieszone są obrazki z życia zwierząt. Portrety króla i królowej i znakomitych anglików, głównie wojowników, więc Nelsona, Wolfa, Wellingtona, Montcalma i innych; jest już i szafka z książkami, głównie obrazki z życia zwierząt i mnóstwo zabawek.

Zabawki to ważny rozdział w życiu dziecka; przy ich pomocy uczy się ono porządku, czystości, systematyczności, poszanowania cudzej pracy; zabawki rozwijają mu umysł, pobudzają wyobraźnią i często są drogowskazem, po którym możemy rozpoznać w jakim kierunku pójdą zdolności dziecka; zabawki są częstokroć początkową szkołą, przy ich bowiem pomocy, często niewiadomo kiedy i jak dziecko pozna litery i nauczy się czytać.

Ze smutkiem wyznać należy, że nie wszędzie zabawki mają takie przeznaczenie, jakie jednak mają w Anglii. Dziewczynki dostają lalki, materyały na wyprawki, gospodarstwo domowe, warsztaciki tkackie, przybory do haftowania i t. p., chłopcy — koleje żelazne, mosty różnych typów, zabawki mechaniczne, elektryczne, budynki i t. p. a oboje dostają Teddy bas'a łamigłówki i mnóstwo gier.

Większą część dnia również spędzają w parku w towarzystwie nurse, rówieśników i psów. Pies bowiem jest nieodstępnym towarzyszem dziecka. Nie jest to wypadkowe: w programie wychowania leży wpajanie zamiłowania do natury i zwierząt, pies więc i kot są najpierwszymi i nieodłącznymi towarzyszami dziecka; w celach pedagogicznych, głównie w parkach angielskich są setki ptastwa domowego, sarn i owiec; w domu każde nieomal dziecko ma kawałek ogródka, który obrabia i hoduje kwiaty. Dlatego też dzieci angielskie nie boją się zwierząt, nie rwią kwiatów, nie łamią gałęzi.

Gdy młody obywatel chodzi już pewnym krokiem, zaczyna się wprawiać w sporty: krokiet, krikiet i yachting. Ta ostatnia zabawa polega na puszczaniu statków na stawie. Każde dziecko ma mniejszy lub większy żaglowiec, torpedowiec

lub parowiec i puszczając go po stawie, zaczyna oswajać się z wodą i nabierać zamiłowania do morza. Rzecz jednak szczególna: te setki dzieci, puszczające po wodzie żaglowce, nigdy nie są zachlapane ani brudne — zamiłowanie do czystości już w nie wpojono.

Maleństwo podrosło i nie jest już dzieckiem, jest raczej człowiekiem. Życie jego jest w miniaturze takie, jak jego rodziców: ma swoje kłopoty, obowiązki, stosunki towarzyskie, interesuje się sportem, ma przekonania polityczne.

W zakresie obowiązków jego leży uszyć ubranie dla lalki lub wyczyścić statek, nakarmić ptactwo lub zwierzęta, obrobić swój ogródek, napisać list do przyjaciela w dniu urodzin, mając stosunki towarzyskie musi złożyć wizytę lub przyjąć gości na wieczornej herbatce, prowadzi wciąż rozległą korespondencyę: „Mr. Charles X. lub Miss Berlnibe X. ma zaszczyt prosić Mr. lub Miss N. na afternoon tea w dniu N. N. o godz. 4. p. p. przyjdź będzie dobra zabawa.“ Na takie zaproszenie musi odpowiedzieć czy przyjdzie, czy nie; po złożonej wizycie dziękuje za mile przepędzony czas. W razie choroby przyjaciela posyła mu wyrazy żalu, czasem zaprasza go na wspólną wycieczkę do muzeum i tak powoli wdraża się w obowiązki towarzyskie, które anglikom nie są ciężarem, lecz nieodzowną częścią życia.

Zaczyna być wciągany w ogólną rozmowę przy stole; wtedy wyraża swoje poglądy, lecz nigdy nie bywa wyśmiany z powodu ich dziecinności, zdania jego szanują, i wierzą mu zawsze, — słowo „kłamiesz“ jest w Anglii nieużywane.

Jako nieodrodny syn swego kraju dużo czasu poświęca sportom; przed regatami Oxford Cambridge nosi blado lub ciemno niebieskie barwy jednej z osad. W czasię wyborów do Parlamentu nosi barwy stronnictwa, z którym sympatyzuje. Jako członek społeczeństwa bierze udział w jego organizacyach dobroczynnych; więc ze swych oszczędności składa ofiarę na przytułek, szpital dziecinny lub ochronkę, niekiedy odwiedza szpitale; co rok przed Bożem Narodzeniem posyła część swych zabawek dla biednych dzieci. Oto życie sześcioletniego obywatela lub obywatelki angielskiej. Powoli, systematycznie, wdraża się w życie towarzyskie, społeczne i polityczne, z którego tak słyną Anglicy, uczy się dobrego wychowania, nabiera samodzielności, pewności siebie i zdrowia: jest zawsze wesoły, uprzejmy i uśmiechnięty.

Tak przygotowany przez rodzinę i nurse, wstępuje do szkoły, która ma dokończyć to, co zaczęła rodzina.

Zygmunt Marczewski.

Dom i kuchnia.

Przechowywanie kawy.

Kawa palona nie powinna być nigdy długo bardzo trzymana i dlatego lepiej nie kupować odrazu zbyt wielkich zapasów. Jeżeli jest dobrze przechowana, wytrzymuje bez poważniejszej straty na wartości przeciąg 14 dni, licząc od dnia upalenia. Najlepiej przechowywać ją w blaszanych naczyniach ze szczelnemi pokrywkami; również przegródki w szufladach sklepowych, przeznaczone na kawę powinny być obite blachą i zaopatrzone w zasuwane pokrywki. Nie dobrze jest przechowywać kawę w ciągu paru dni w torbach papierowych. Wogóle do kawy należy używać tylko torebek z najlepszego wolnego od kwasów papieru; przy podwójnych torebkach, papier wolny od kwasów powinien znajdować się wewnątrz. Kawa mocniej palona (ciemniejsza) ma ziarna grubsze, idzie więcej na wagę, ale jest w smaku słabsza, aniżeli lżej upalona. Obowiązkowo trzeba wystrzegać się, aby nie mieszać w naczyniach lub szufladach świeżej kawy z resztkami starej.

Rosół dla osłabionych.

Na sześć osób wziąć trzy funty mięsa wołowego, funt cielęcego, gdy rosół dobry gotowy, dodać cztery żółtka dobrze rozbite z wystudzoną częścią rosołu; przy podaniu na stół, wlać żółtka do gorącego rosołu, wcisnąć jedną całą cytrynę i wylać do wazy na oddzielnie ugotowany sypki ryż z masłem.

Biszkopty orzechowe.

Dwanaście białek ubić na sztywno, wymieszać lekko z funtem pudru, a potem z pół funtem mąki; szprycować na blachy wysmarowane cienko masłem i posypane mąką, małe biszkopciki, które posypać suto grubo siekanemi orzechami i pudrem, odpiec w średnio gorącym piecu, a po odpieczeniu posmarować marmoladą i poskładać.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Czernina z kluskami, gęś pieczona z kapustą czerwoną, kompot z jabłek.

Poniedziałek. Kapuśniak na wieprzowinie, pieczeń wołowa z kluseczkami, kaszka z sokiem.

Wtorek. Zupa cytrynowa z grzankami, kotlety wieprzowe z marchewką.

Środa. Barszcz z uszkami, kiełbasa z kapustą, szarlotka z jabłek.

Czwartek. Zupa pomidorowa z ryżem, pieczeń cielęca z burakami, konfitury.

Piątek. Zupa piwna z grzankami, szczupak smażony, naleśniki z konfiturami.

Sobota. Krupnik, zrazy z kaszą, kompot ze śliwek.

:: HUMORYSTYKA ::

Stosowna owacya.

Na weselu pięknej, młodej panienki z pewnym starszym, mocno przeżytym kawalerem, polecono kapelmistrzowi, aby, gdy nowo zaślubiona para wstanie od stołu, muzyka zagrała jakąś stosowną melodyę.

Jakież jednak było zdziwienie, ba nawet przerażenie wśród zebranych gości, skoro muzyka, gdy zaślubieni opuszczali salę jadalną, zagrała — marsz pogrzebowy Chopina.



Złośliwy.

Pewna stara dama spaceruje z pączkiem róży u piersi. Jakiś chłopak na ulicy obserwuje ją tak długo, że to aż damę rozgniewało.

— Cóż się tak gapisz na mnie smarkaczu?

— E! nic! Ja się tylko dziwię, że taki stary krzak jeszcze pączki puszcza!



Przy obiedzie.

Na pewnym proszonym obiedzie przy nakryciu panny N. nie położono chleba.

Siedzący przy niej młody człowiek, z całą galanteryą ofiaruje jej swój chleb, mówiąc żartobliwie:

— O pani zapomniano, racz przeto podzielić ze mną mój kawałek chleba...

— Ach! o tem proszę pomówić z rodzicami — odpowiada rumieniąc się i spuszczając oczy panna N.



Przezorny.

— Dlaczego pan się nie żeni, panie Adolfie? — pyta pani Idalja przyjaciela swego męża.

— O pani! Małżeństwo, to niebo lub piekło. Na niebo nie zasłużyłem, a w piekle to być nie chcę!...



Dawniej wesela huczne były, dziś zaślubiny cicho się odbywają, i dopiero po ślubie hałas następuje.



Ze wspomnień.

— Czy pamiętasz drogi mężusiu to miejsce lat temu dziesięć!?

— O tak, to jest to samo miejsce, gdzie dziesięć lat temu nie powinienem był spotkać się z tobą.



W aptece.

— Panie, jaką mi dał pan pomadę, wszystkie włosy mi powypadały z głowy.

— Cóż ja winien, proszę pana, bez woli Bożej ani jeden włos z głowy nie spadnie.



U sędziego.

— Jakto, tylko co wypuścili cię z więzienia i znowu dopuściłeś się kradzieży? Czy na to cię uwolnili?

— Nam, wielmożny sędzio kazali wrócić do dawnych zajęć, a ja skazany byłem na więzienie za kradzież.



U doktora.

D o k t o r: Dlaczego się pani zamyśliła nad moją receptą?

P a c y e n t k a: Bo miałam przyjaciółkę, która zażywała to lekarstwo i umarła.

D o k t o r: A ja miałem przyjaciela, który nie zażywał tego lekarstwa i także umarł.



Przy spotkaniu.

— Gdzie się tak śpieszysz?

— Nie mam ani chwili czasu, bo ja się żenię i idę do narzeczonej.

— No, to ja pójdę wolniej, bo ja się już ożeniłem i idę do żony.



Młodość jest jak przedmowa do książki; czasem książka co innego zawiera niż to co obiecywała przedmowa.



Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

Redaktor odpowiezialny Marjan Hupczyc w Krakowie.